



KAZACHSTAN • CZECHY • WIETNAM • PORTORYKO • SRI LANKA • ARGENTYNA • POLSKA • ALGERIA • HISZPANIA • ETIOPIA

www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

8

2019

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

Etiopia

SPOTKAJMY SIĘ W DIMECE

str. 96

str. 10

KAZACHSTAN

ĘCHA JEDWABNEGO SZLAKU

str. 48

SRI LANKA

ŚMIERĆ PRZYBRANA
NA BIAŁO

str. 20

CZECHY

PIELGRZYMKA PIWOSZA

HISZPANIA STR. 90

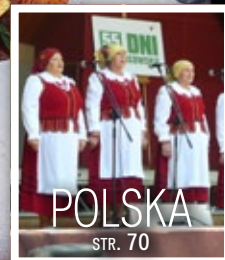
CZAR PUEBLOS BLANCOS

WIETNAM STR. 28

DZIEŃ Z ŻYCIA DELTY

ALGERIA STR. 80

ŚWIĘTO POKOJU TUAREGÓW



ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 770032 614902 08

Pozytywny Portal

www.Pomorzenie.info

Informator:
Kaszuby,
Kociewie,
Trójmiasto,
Żuławy
Świat Podróży

Polub nasz FANPAGE :

www.facebook.com/StudentTrojmiasto/





KAZACHSTAN str. 10



HISZPANIA str. 90



PORTORYKO str. 36



ARGENTYNA str. 58



ALGERIA str. 80

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4

Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

KAZACHSTAN str. 10

Echa jedwabnego szlaku.
Aleksandra Wiśniewska

CZECHY str. 20

Žatec – pielgrzymka
piwosza.
Grzegorz Kozakiewicz

WIETNAM str. 28

Dzień w delcie Mekongu.
Piotr Poraysky-Pomsta

PORTORYKO str. 36

Woda zaświeci,
dżungla zaśpiewa.
Ewa Treszczotko

GEOSKOP str. 44

SRI LANKA str. 48

Śmierć przybrana na biało.
Agata Kurzańska

PODRÓŻNOŚCI str. 56

Odgrywcy.
Felieton Magdaleny
Żelazowskiej

ARGENTYNA str. 58

Rytuały bycia razem.
Joanna Stankiewicz

NAVIGATOR str. 66

POLSKA str. 70

W paprykowym zagłębiu.
Piotr Geise

DŁUGO W DRODZE str. 78

Ostatnia dzika rzeka cz. 1.
Felieton Łukasza
Długowskiego

ALGERIA str. 80

Święto pokoju Tuaregów.
Jerzy Nowiński

POLSKA NIEZNANA str. 88

Folklor wciąż żywy.
Felieton Mikołaja
Gospodarka

HISZPANIA str. 90

Czar puebls blancos.
Kamila Kudaszewicz

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:

ETIOPIA str. 96

Spotkajmy się w Dimece.
Zbigniew Kula

ŚLADAMI

PRZESZŁOŚCI str. 106

Kilometry historii sztuki.
Felieton Anny Szczęsnej

OUTDOOR str. 108

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 112



NA OKŁADCE:
Etiopka na targu
w Dimece

Katarzyna Preuss

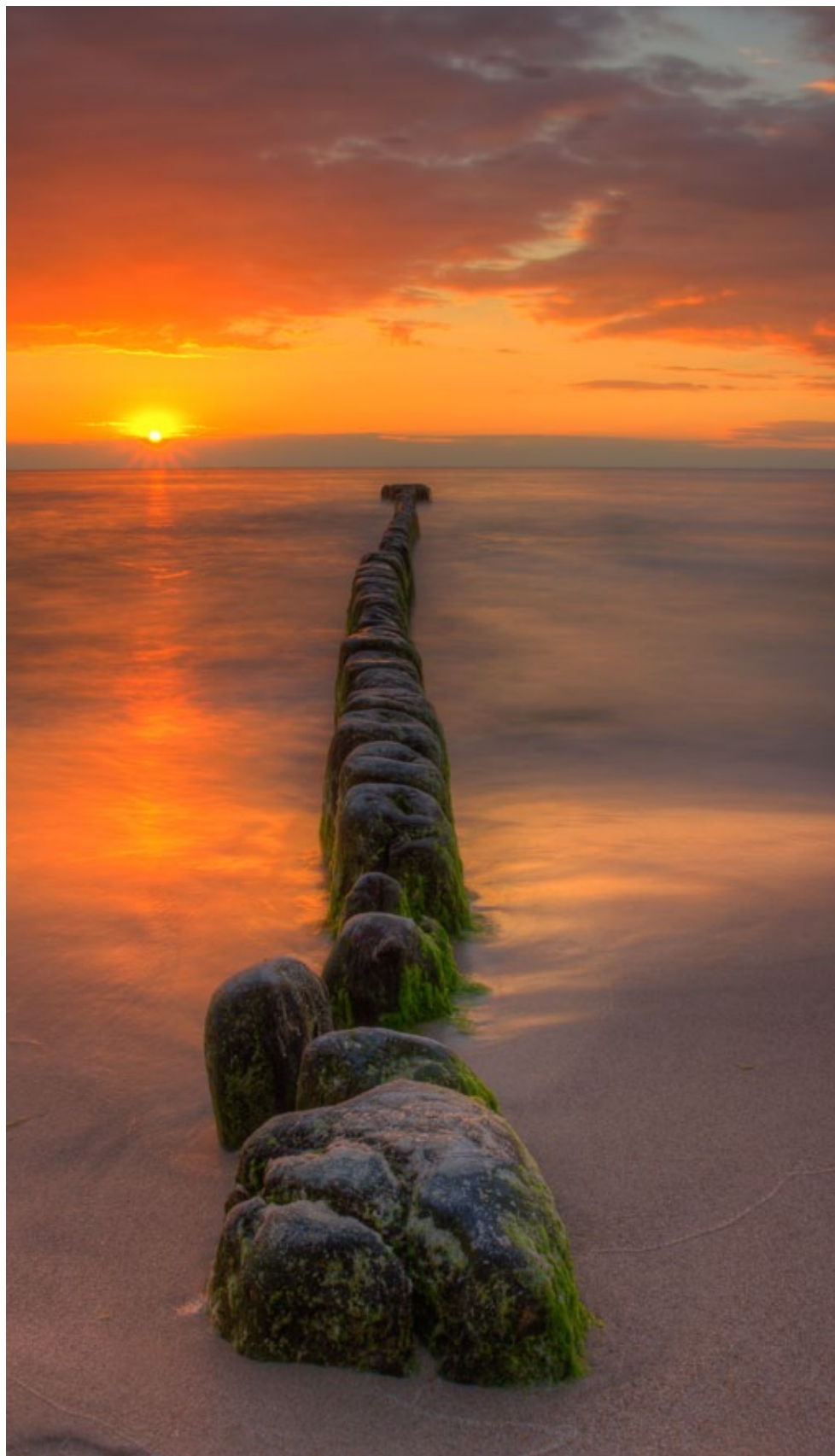
POLSKA

W stronę słońca

Międzyzdroje leżą na wyspie Wolin, w województwie zachodniopomorskim. To rejon o wyjątkowo łagodnym klimacie, stąd woda, jak na Bałtyk, jest tutaj wyjątkowo ciepła. Plaża w Międzyzdrojach jest piaszczysta i dość szeroka. Dalej w kierunku wschodnim wybrzeże zaczyna się podnosić i powstaje słynny klif. Dodatkową atrakcją plaży jest długie na 120 m, oświetlone moło.

Zdjęcie zajęło I miejsce w XVII edycji konkursu Poznaj Świat ze SKAT!

www.poznajswiatzeskat.pl



MY LIGHT MY WAY

ULA // Uwielbiam wycieczki z dziećmi. Są znakomitą odskocznią od świata zbyt wpatrzonego w ekrany... Mam wrażenie, że w terenie dzieci mogą naprawdę być sobą, eksplorować, zadawać pytania, odkrywać przyrodę. W nocy, szczęście ma inny wymiar, wystarczy ognisko i opowieści. Noc pod gwiazdami pozostaje magicznym przeżyciem, niezależnie od tego ile ma się lat. #petzlnightlife



© Matt Charnod



TIKKA®

Kompaktowa latarka czołowa zapewniająca oświetlenie bliskiego zasięgu. 300 lumenów. www.petzl.com



Access
the
inaccessible®



Martyna Herisz

TURCJA

Sól jest piękna

Autoportret został wykonany w miejscowości Pamukkale, która słynie z wapiennych osadów powstałych na zboczu góry Cökelez. Osad na pierwszy rzut oka wygląda jak śnieg, jednak w dniu powstania zdjęcia temperatura sięgała 40°C. Bogata w związki wapnia i dwutlenku węgla gorąca woda wypływająca ze źródeł tworzy nacieki oraz baseny termalne w formie tarasów. Proces wytrącania osadu trwa nieprzerwanie od 14 tys. lat.

Zdjęcie zajęło II miejsce w XVII edycji konkursu Poznaj Świat ze SKAT!

www.poznajswiatzeskat.pl



Piotr Cieślak

UKRAINA

Dwie prędkości

Do wsi Kostiuchnówka prowadzą leśne szutrowe drogi, przez które trzeba przebyć 30 km, żeby znaleźć się na miejscu. Tu czas się zatrzymał. Ludzie zajmują się uprawą roli, a najpopularniejszym środkiem transportu są wozy konne. Na zdjęciu lokalni mieszkańcy, wpatrzeni w odległą pod wieloma względami, a równocześnie bliską, elektrownię atomową.

Zdjęcie zajęło III miejsce w XVII edycji konkursu Poznaj Świat ze SKAT!

www.poznajswiatzeskat.pl





Michał Białek

POLSKA

Na wypasie

Zdjęcie zostało zrobione z punktu widokowego usytuowanego przy Zbiorniku Wody Stara Orunia na gdańskiej Oruni – historycznej dzielnicy sąsiadującej z zabytkowym Głównym Miastem. W tle widać szkołę „Melioratkę” i basen miejski oddany do użytku w 2018 r. Zbiornik Stara Orunia, który zimą zamieszkują nietoperze, został z szacunkiem dla przyrody odrestaurowany i udostępniony turystom, dzięki czemu stał się jednym z punktów Gdańskiego Szlaku Wodociągowego.

Więcej informacji na www.giwk.pl

Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.



ECHA JEDWABNEGO SZLAKU

Aleksandra Wiśniewska

Miasto Ałmaty wita nas śnieżną zamiecią i ołowiem zimowego nieba. Wewnątrz kampera temperatura spada do minus czterech. Zamiast jednak uciekać w stronę ciepła, decydujemy się wyruszyć w podróż sentymentalną – śladami jedwabnego szlaku. Chcemy sprawdzić, czy kazachskie miasteczka rozbrzmiewają jeszcze echem karawan ciągnących wieki temu z Chin do Europy.

NA SKRZYŻOWANIU WIELU DRÓG

XIV-wieczne mauzoleum sułtana Mahmuda Khana w mieście Taraz. Według legendy krzyżowało się tu dziewięć dróg jedwabnego szlaku. Podobno juczne zwierzęta stawały w miejscu, jakby zatrzymane niewidzialną siłą. Ruszały dopiero, gdy podróżnicy czytali wyjątki z Koranu i odmawiali modlitwy.



FOT. ALEKSANDRA WISNIEWSKA



nomadów. W bezpiecznych warunkach dochodziło tu do wymiany towarów pomiędzy wschodnimi handlarzami jedwabiem, papierem i porcelaną a miejscowymi, których dumą były tkaniny i przede wszystkim filc, używany do okrywania jurt.

To właśnie on, chropowato-miękki, gruby i ciepły materiał, staje się przedmiotem naszych poszukiwań w Sajram.

GDZIE JEST FILC?

Tropienie zaczynamy od zlokalizowania bazaru. Nawigacja prowadzi nas wąskimi, chaotycznymi uliczkami miasta do zbiegu głównych dróg. Ich stan jest tak samo zły, jak tych osiedlowych. Są oblepione budyneczkami, z których każdy pełni funkcję usługową. Największą popularnością cieszą się notariusze i lombardy, reklamowane przez baner ze złotym pierścieniem i osadzonym w nim gigantycznym brylantem. Pomiedzy nimi cisną się na wpół oszklone, na wpół panelowe fronty minimarketów spożywczych. Czasami nie ma ani reklam, ani frontów, a sklepik otwiera się bezpośrednio na ulicę, pokazując cały swój

SZEW C Z SAJRAM

W swoim maleńkim warsztacie szybkimi ruchami przesuwając igłą kawałki owczej skóry i bezkształtne skrawki przeistaczają się w eleganckie obuwie. Wszystko szyje na miarę, na zamówienie.

Podróż zaczynamy od położonego na południowym wschodzie Sajram. To niewielkie, liczące nieco ponad trzydzieści tysięcy dusz miasteczko jest jednym z najstarszych w Kazachstanie. W 1999 r. obchodziło trzytysięczne urodziny! W IX w. Sajram zapisał się w historii jako kwitnący ośrodek handlu, ale również miasto obronne, chroniące mieszkańców i przybywających z daleka kupców przed atakami



FOT. ALEKSANDRA WISNIEWSKA



FOT. ALEXSANDRA WIŚNIEWSKA

asortyment. A to wszystko, zanim jeszcze wejdziemy w labirynt bazaru właściwego.

Ten praktycznie niczym się nie różni od sklepików na zewnątrz. Małe sześciokątne pomieszczenia wypełnione po brzegi różnego rodzaju dobrami. Jedyną różnicą, jaką natychmiast zauważamy, to relatywna cisza. Nie ma potrzeby przekrzykiwać warczących silników samochodowych, nieustannie trąbiących klaksonów i piszczących hamulców, które są akompaniamentem świata kupieckiego na zewnątrz. A i kupujących tu jakby mniej.

Przechadzamy się bazarowymi alejkami w poszukiwaniu słynnego filcu. Kluczemy pomiędzy stoiskami z odzieżą, skórzanymi płaszczami i puchowymi kurtkami. Filcu ani śladu. Kiedy pół godziny później, uznając swoją porażkę, opuszczamy bazar, nasze spojrzenie pada na pusty sklepik. W jego witrynach wiszą skórzane wkładki do kozaków. Może tu? Siedzący nad maszyną do szycia mężczyzna wita nas szerokim, ale szybkim uśmiechem. – *Zdrowstwujiťe. A filcu u was*

niet? Głowa podnosi się tylko na chwilę, by grzecznie odpowiedzieć: – *Niet. U nas tylko skóra. Naturalna! Owczja!*

Rzeczywiście, wszędzie jak okiem sięgnąć piętrzą się kawałki skór. Niektóre już przycięte, inne jeszcze w wielkich płatach miękkiej wełny. Na stołach pod oknem leżą gotowe próbki wkładek.

– *A te za ile?* – Wskazuję na czarne, z wystającym na szwach i cholewie meszkiem wełny.

– *Dziesięć tysięcy tenge, te obok, prostsze, pięć.*

– *A to można te czarne?*

– *Nie, nie.* – Spod czapeczki rozlega się dobroduszny śmiech. – *Tu wszystkie na zakaz, na miarę.*

No cóż, trudno.

– *A ten filc? Nie wiecie, gdzie można dostać?*

– *Tu na bazarze? Nie dostaniecie.*

Porażkę postanawiamy zatopić w filizance czaju. Czajkany swoją liczbą przerastają nawet lombardy i notariuszy. W ich ciepłych i parnych wnętrzach postawiono ubrane w ceraty stoliki. Dziewczyny, które są jednocześnie

KUMYS Z SZYMKENTU

Jest lekko gorzki, cierpkawy i orzeźwiający, a prosto z bazaru – najlepszy. Można tu też nabyć twaróg, ser owczy i kozi, ajran z natką pietruszki i szczypiorkiem, różnego rodzaju jogurty i gęstą śmietanę.

i kelnerkami, i kasjerkami, krzątają się jak w ukropie.

– *Co będzie?*

– *Czajnik czaju z mlekiem i może samsa?*

– *Samsę trzeba zamówić na stoisku przed wejściem. U nas tylko czaj.*

Odpowiednio pouczeni idziemy oglądać asortyment wskazanego stoiska. Zaskakująca ilość dobroci mieści się na niewielkim, przylegającym wprost do paleniska blacie. Wracamy z samsą – smażoną na głębokim tłuszczu bułeczką wypełnioną baraniną, cebulą i aromatycznym rosółem. Do tego *beliasz*, złożony na pół cieniutki naleśnik wysmarowany farszem z baraniny, oraz *gumma* – cynamonowa bułeczka z nadzieniem z mielonej wątróbki i ryżu.

A w czajkanie na stole paruje już czaj.

KĄŻDY KĘS TO EKSTAZA...

Na kolejnym przystanku naszej karawany, w mieście Szymkent, tropimy kumys. To właśnie ze sfermentowanego kobyłego mleka miasteczko jedwabnego szlaku słynęło najbardziej. Oraz z tego, że było dla Sajram karawanserajem – wielkim zajazdem, w którym zatrzymywali się na odpoczynek kupcy wraz ze swoją służbą, towarami i trzodą. Co ciekawe, dzisiejszy Szymkent znacznie przerósł swojego

dawnego patrona. Obecnie jest trzecim co do wielkości miastem Kazachstanu, z populacją przekraczającą milion mieszkańców.

Tutejszy bazar wielkością i zaopatrzeniem dostosowuje się do miasta. Wczorajsza wizyta na bazarze w Sajram była przyjemną przechadzką w porównaniu z walką o życie, jaka toczy się na zawitych, zatłoczonych uliczkach marketu w Szymkent. Strużki ludzkich potoków biegną w każdą stronę. Złapani w nurt jednego z nich, nijak nie możemy zmienić kierunku. Iść pod prąd? Szaleństwo. Do tego raz po raz czujemy między żebrami ostre łokcie dostawców z lokalnych jadłodajni – przeciskają się przez tłum z siłą tarana, akrobatycznie balansując półmiskami pełnymi szaszłyków i lepioszek.

Nurt niesie nas z części tekstylnej bazaru przez obuwniczą, dywanową, biurowo-szkolną, gospodarstwa domowego aż po spożywczą. Tu walecznie wyłamujemy się z niego i szukamy stoisk z kumysem. Idziemy. Sprzedawcy zachwalają swoje towary w co najmniej dwóch językach: kazachskim i rosyjskim. Kiedy zaś widzą nasze obco wyglądające twarze, dorzucają jeszcze obowiązkowe „*my friend!*” i wiskają w dłonie próbki towarów. Mężczyzna z minimalistycznego stoiska złożonego z blatu i maszyny wyciągniętej z pracowni alchemika

SMACZNEGO!

Tutejsze szaszłykarnie są niepozorne, ciasne i zakopcone paleniskami, ale ich dania rozplwają się w ustach. Czuje się w nich ziołowe marynaty doprawione dymem, a świeża ostra cebula idealnie dopełnia smaku.



FOT. ALEKSANDRA WIŚNIEWSKA

PIĘKNE JAK AISZA

Mauzoleum Aisza Bibi w wiosce o tej samej nazwie. W XII-wiecznym wnętrzu leży 16-letnia Aisza, która jechała na spotkanie z ukochanym, Emirem z Taraz. Kiedy odświeżała się w rzece, śmiertelnie ukąsił ją wąż. Zrozpaczony Emir zarządził budowę mauzoleum, które miało dorównać urodzie dziewczyny.

oferuje świeżo wyciśnięty sok z granatu. Ciemnobordowe owoce wkłada w srebrny cylinder. Za pomocą czteropromiennej gwiazdy kołowrotka wciska weń ciężki tłok. Chwilę później krwisty sok tryska do szklanego dzbanka, a stąd do plastikowej butelki.

Popijając orzeźwiający płyn, brniemy dalej. Wreszcie jest. Kumys. I nie tylko. Długie rzędy stoisk z nabiałem ciągną się równolegle do siebie, a przy każdym stoi chmara kupujących. Sprzedawczynie – w grubych kurtach pod śnieżnobiałymi fartuchami – przelewają warzączwie białych płynów z emaliowych wiader do plastikowych butelek klientów. Zanim dokonamy zakupu, jesteśmy raczeni próbkami tego, co kryje każde z wiader: mleko owcze, mleko krowie, śmietana, jogurt, unoszący się w serwatce twaróg, ajran i oczywiście gorzkawo-kwaśny, łaskoczący podniebienie fermentem, orzeźwiający kumys.

Udane poszukiwania idziemy uczcić w alejce z minijadłodajnikami. Do tej trafić najłatwiej. Znaczą ją unoszący się w powietrzu zapach grillowanego mięsa i gęsta mgła aromatycznego dymu palenisk. Całą

długość zdobią plastikowe stoliki z surowymi szaszłykami. Tylko stawiamy pierwszy krok w tym kierunku, a wyskakują do nas sprzedawczynie, błyskając imponującą ilością złotych koronek.

Docieramy cało do końca alejki, gdzie zaskakuje nas szaszłykownia, w której nikt nie ciągnie do środka. Zaintrygowani, zerkamy nieśmiało na piętrzącą się przed nami ofertę. Nikt tu nie krzyczy, nie nagania. Cud jakiś! Ośmieleni, zagadujemy kucharza, który w okopconym palenisku bezustannie przekręca pręty pełne kawałków mięsa. Poleca szaszłyki z mielonego farszu, wątróbkę owiniętą boczkiem i standardowo – baraninę. We wnętrzu niewielkiego pomieszczenia ściśle wypełnionego stolikami czeka już dzbanek czaju z mlekiem i koszyk lepioszek. Jakiś czas później pojawia się talerz z szaszłykami pod grubą pierzyną świeżej cebuli... Każdy kęs to ekstaza. Delikatne, soczyste mięso rozpląwa się w ustach. Jego dymny smak i osty kontrast cebuli tworzą idealną harmonię. Domawiamy jeszcze indyczą wątróbkę, która smakuje jak grillowany jedwab.

TAJEMNICZE SAURAN

Początki tej fortecy sięgają X w. Otoczona siedmioma murami, była stolicą Białej Hordy – klanu jednego z wnuków Czyngis-chana. Dziś po warowni nie zostało wiele, ale miejsce to emanuje tajemniczym pięknem, podkreślonym przez barwy rozpostartego nad nim nieba.



FOT. ALEXANDRA WISNIEWSKA



FOT. ALEXANDRA WIŚNIEWSKA

Dym z paleniska wlatuje do środka i wyciska łzy z oczu. Babuszka jazgotliwie odbiera telefony z zamówieniami. Cerata klei się do łokci słodką herbatą. Jest pięknie.

BYŁ SOBIE FARAB

Zasmakowawszy współczesnej wersji jedwabnego szlaku, cofamy się w czasie. Jedziemy do antycznych osad. Ich ruiny pamiętają jeszcze karawany pierwszych kupców, którzy przemierzali szlak na jucnych koniach i wielbłądach.

Farab wita nas mrozem i przenikającym do kości wiatrem. Malutka wioseczka, do której przylega kompleks ruin, jest jedyną w promieniu wielu kilometrów osadą, wyrastającą pośród suchego, piaszczystego stepu. Na pustym parkingu przy wiosce zostawiamy

kamper i w tumanach kurzu wzbijanego przez porywisty wiatr idziemy na teren oazy.

Jej początki sięgają III w. Za czasów świetności była miejscem, gdzie schodziły się główne trasy jedwabnego szlaku. Farab liczył wówczas ponad 150 gęsto zabudowanych miasteczek z pałacami i warowniami. Łącznie na ich terenie mieszkało niemal 250 tys. ludzi. Całość przecinał skomplikowany system kanałów doprowadzający wodę m.in. do powstałych w IX w. łaźni z halą do kąpeli i masażu. Odnalezione podczas prac archeologicznych szczątki naczyń świadczą również o biegłości mieszkańców w wytwarzaniu misternie zdobionej ceramiki.

Najsłynniejsza karta w historii Farab ocieka jednak krwią. Na początku XIII w. dotarła tu mongolska karawana. Jej burmistrz wziął przybyszów za szpiegów i kazał

NAUCZYCIELOWI – TIMUR

Chodźa Ahmad Jasawi, XII-wieczny suficki święty, podbił serca wiernych umiejętnością przekazywania nauk islamu. Timur, groźny władca Samarkandy, darzył Jasawiego ogromnym szacunkiem i na jego cześć kazał wznieść w Turkiestanie mauzoleum, nazywane drugą Mekką. Jego kopuła po dziś dzień pozostaje największą w Centralnej Azji.



zgładzić wszystkich – 450 ludzi. Dowiedziawszy się o tym, Czyngis-chan przysłał do oazy trzech swych dyplomatów z żądaniem wyjaśnień. Jeden z nich został zgładzony, a dwóch pozostałych upokorzono, goląc im brody i odsyłając do chana. Jego zemsta niemal zrównała Farab z ziemią, nigdy już nie wrócił do czasów świetności. Dzieła chana dopełniły liczne wojny nękające region oraz

wysuszenie rzeki Syr-daria, która utrzymywała oazę przy życiu.

Zostawieni sami sobie, w mroźny listopadowy dzień blakamy się po uliczkach starożytnej osady – jedyni żyjący pośród duchów przeszłości. Kiedyś pomiędzy tymi murami wrzało życie. Powietrze dźwięczało głosem rozmów, negocjacji, informacji i plotek z odległego i tajemniczego Wschodu. Dziś



FOT. ALEXANDRA WIŚNIEWSKA

jedynym dźwiękiem, jaki zaburza ogłuszającą ciszę, jest zawrodoenie wiatru. Ze świątyń, domostw, łaźni i sklepików pozostały resztki wypalonych cegieł, poukładane przez archeologów w prowizoryczne granice budynków. I ciągnące się po sam horyzont długie kopce porośnięte ostrą trawą. Pod każdym z nich – podobna osada, pieczołowicie otulona przez step.

W stanie skrajnej melancholii wracamy do kampera. Czas w drogę do następnej pocztówki z przeszłości. Na przeszkodzie staje jednak zamieć, minus jedenaście na termometrze i zamrożone przewody paliwowe. Ale wkrótce pojawia się pomoc. Najpierw w postaci okutego w waciak stróża kompleksu archeologicznego. Potem jego szwagra, który przybywa z odsieczą na koparcę z pobliskiej budowy. Pojawia się również taksówkarz z holem od traktora i przygarnia nas na wieczerzę w kuchni ogrzewanej piecem kaflowym. Jest i mechanik z garażu przylepionego do lokalnego spożywczaka.

JAK PRZED WIEKAMI

Dzień później kamper, przywrócony do życia przez całą wioskę, która zbiegła się na pomoc nieszczęsnym turystom, znów niesie nas jedwabnym szlakiem.

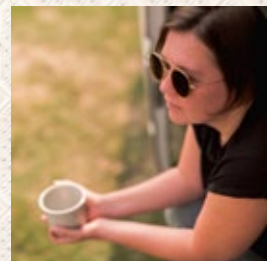
Ostatnim punktem na naszej trasie jest Turkiestan. Pod wspnianym mauzoleum z turkusowo-beżowej ceramiki leży suficki święty, Chodża Ahmad Jasawi. W XII w. zasłynął z wyjątkowej umiejętności przekazywania masom nauk islamu. Jego osoba w świecie muzułmanów była tak wysoce ceniona, że miejsce spoczynku Jasawiego okrzyknięto drugą Mekką. W XIV w., na polecenie Timura, potężnego władcy Samarkandy, nad skromnym grobem świętego wzniesiono przepiękne mauzoleum.

Do dziś budowla wprawia w zachwyt. Jest celem podróży zarówno turystów, oczarowanych jej pięknem, jak i pielgrzymek wiernych, którzy z namaszczeniem okrążają ją zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara, gładząc prawą dłońią w modlitewnym geście mury świętego miejsca.

Panująca tu atmosfera znów skłania do zadumy. Czy rzeczywiście jedwabny szlak przestał istnieć? Ludzie wciąż ciągną po tych samych, wytyczonych wieki temu ścieżkach. Pokonują tysiące kilometrów, by znaleźć się w tych samych co ich przodkowie miejscach kultu. Prą naprzód karawany tirów wypełnione towarami na handel. Siedzące na bazarach i przydrożnych straganach z owocami przekupki tak samo jak praprzodkinie twardo targują się z klientami. I tak samo jak wieki temu ludzie spieszą z pomocą podróżnikom w potrzebie. ○

FORTECA I OAZA

Farab był potężnym, ufortyfikowanym miastem i oazą dla karawan przemierzających jedwabny szlak. Monumentalne budynki tworzyły symetrycznie poukładane osiedla. Działał tu skomplikowany system nawadniający, dzięki któremu rozwijało się rolnictwo oraz funkcjonowały łaźnie z gorącą wodą.



Aleksandra Wiśniewska

Z wykształcenia dziennikarka, z zamiłowania podróżniczka. Chcąc połączyć obie pasje, zrezygnowała z pracy w singapurskiej korporacji i zamieniła wygodne życie w Mieście Lwa na telepanie się ciasnym kamperem po bezdrożach świata. Już ponad rok w podróży z Polski na Alaskę. Obecnie w Pakistanie.

Žatec pielgrzymka piwosza

Grzegorz Kozakiewicz



Szara, garnizonowa miejscowość w cieniu sąsiednich Loun po dekadach marazmu podnosi się z ruin. Dzięki niespożytej energii pasjonatów miasto staje się mekką filmowców, miłośników historii i... piwa.

Žatec odkryć niełatwo. Położony w połowie drogi z Pragi do Karlowych Warów, między Rudawami a szczytami Średniogórza, ma niewielkie szanse u narciarzy i poszukiwaczy Czech w pigułce. Na szczęście są jeszcze piwosze. Ci, którzy wzorem Haszka nawykli do medytacji nad kuflem piwa, Žatec odwiedzą chętnie. Miasto, będące przez stulecia centrum czeskiego chmielarstwa, pozwoli im zgłębić tajemnice złocistego trunku oraz posmakować tradycyjnych, warzonych rzemieślniczymi metodami piw.

ZAGŁĘBIE ZIELONEGO ZŁOTA

Kariera žateckiego chmielu rozpoczęła się za panowania króla Przemysła Ottokara II. Zasobne miasto, pełne niemieckich kolonistów, otrzymało wówczas liczne przywileje, m.in. monopol



piwny w promieniu mili. Prawo do jego warzenia mieli wszyscy właściciele domów w obrębie murów miejskich. W średniowieczu królowało jeszcze piwo żywe – mętne, niepasteryzowane, utrwalane za pomocą rozmaitych dodatków: szałwii, jałowca, krokosza. Dowodem na to, że akurat w Żatcu ceniono i uprawiano chmiel, jest dokument z 1348 r. Poświadcza on, że mieszczanin Albert sprzedał swoje zagony chmielu niejakiemu Jeclinowi zwanemu Bogaczem. Czterdzieści lat później odnotowano budowę wodociągu łączącego rzekę Ohrzę z komunalnym browarem, który zastąpił ponad 200 indywidualnych warzelni.

Niewiele wiemy o zmianach dokonanych przez husytów w Żatcu. Można przypuszczać, że zamożni obywatele niemieccy opuścili miasto po 1412 r. Inni zobowiązali się przejść na husytyzm, podobnie jak dwaj niemieccy proboszczowie. Powstała żatecka piechota, która brała udział we wszystkich bitwach husyckich. Miasto stało się „Słońcem husytów”, chętnie odwiedzanym przez przywódcę ruchu Žižkę.

Buntownicza przeszłość na lata położyła się cieniem na rozwoju miasta. Chwilową stabilizację za rządów Jerzego z Podebradów zburzyła reformacja i masowa konwersja żateckich mieszczan na luteranizm. Gdy w 1547 r. cesarz

SZLAKIEM REKLAM

Chlubą malowniczego rynku jest barokowy ratusz z blisko 50-metrową wieżą. Plac był miejscem kręcenia reklam znanego czeskiego piwa.



OD POWIETRZA, GŁODU,
OGNIA I WOJNY...

W centralnym punkcie rynku stoi kolumna morowa – wotum dziękczynne ufundowane w 1707 r. przez zamożnego aptekarza Johanna C. Calderara.



Niemiec Karol V Habsburg poprowadził armię przeciwko protestantom, miasto odmówiło gościny żołnierzom wysłanym mu z pomocą przez Ferdynanda, króla Czech. Spotkała je za to sroga kara. Radę miejską zmuszono do zapłaty trybutu. Nakazano zburzenie bram i miejskich fortyfikacji. Wybuch wojny trzydziestoletniej przyniósł kolejne represje. Po brzemiennej dla Czechów bitwie pod Białą Górą Žatec, nadal będący w opozycji do panujących, został zajęty przez wojska cesarskie. Burmistrza Maxmiliana Hosztalka stracono w Pradze po krótkim procesie. Wszystkie wsie miejskie, gminny dobytek, fundusze, młyny



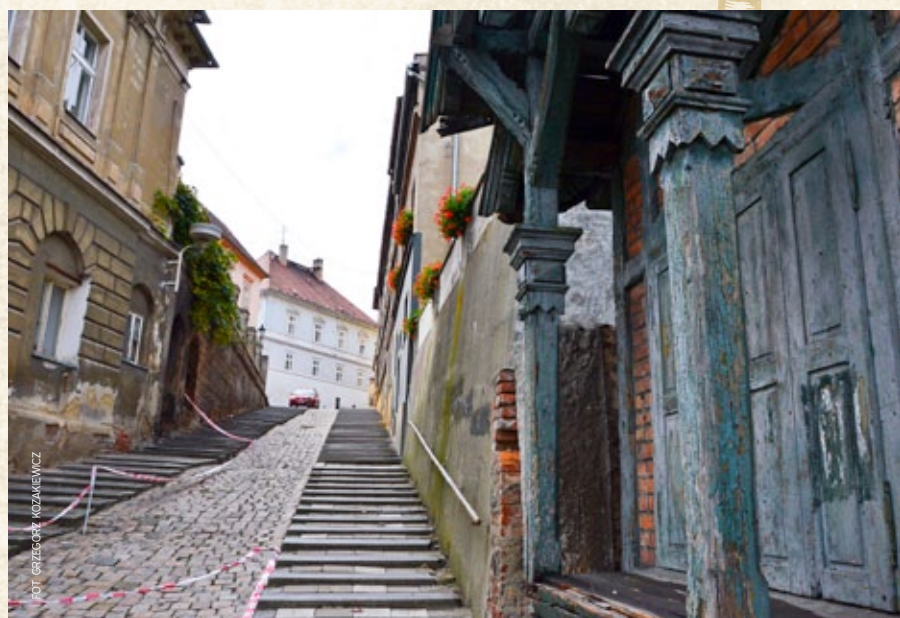
FOT. GRZEGORZ KOZANEWICZ

zostały skonfiskowane. Protestantów zmuszono do emigracji. Ich miejsce zajęli katoliccy osadnicy z Bawarii i Austrii.

Po wojnie w całych Czechach pozostał raptem ułamek dawnych upraw chmielu. Pola wypalono, brakowało rąk do pracy. Na kryzysie skorzystali fałszerze i przemytnicy. By się przed nimi bronić, žatecki ratusz rozpoczął znakowanie bel chmielu. Inne miasta postąpiły tak samo. Ostatecznie w 1769 r., po stu latach walki z szalbiercami, cesarzowa Maria Teresa wydała oficjalną ustawę o zakazie wywozu chmielu i dokumentach gwarantujących jego unikalne pochodzenie.

Chmielowe szyszki stały się „zielonym złotem”. W odmianie saaz dostrzeżono wyjątkowe walory, mające źródło w suchym klimacie i specyficznej, czerwonej glebie, którą można znaleźć jedynie w kotlinie między Rudawami a górami czeskiego Średniogórza. Miejscowe piwowarstwo znów kwitło. W 1767 r. w Žatcu istniały cztery browary i 20 słodowni, w 1833 r. utworzono stowarzyszenie chmielarzy, a 30 lat później – Žatecką Giełdę Chmielu. O nieprzerwanym rozwoju świadczy fakt, że przed II wojną światową w mieście było zarejestrowanych 161 firm uprawiających chmiel i 53 centra jego pakowania.

W 1859 r. regionem zainteresował się Anton Dreher Starszy, wiedeński piwowar,



FOT. GRZEGORZ KOZANEWICZ

branżowy rewolucjonista i pionier w produkcji piwa dolnej fermentacji. Jego liczące blisko 350 ha dobra w Mecholupach pod Žatcem stały się największym w okolicy producentem jęczmienia i chmielu. Tu narodziły się także najciekawsze innowacje w jego uprawie. W 1884 r. zatrudniony u Drehera Josef Heidak udoskonalił, podpatrzoną u innego chmielowego barona Josefa Schoeffla, konstrukcję z tyczek i drutu. Powszechnie używana do dziś *žatecka dratenka* zastąpiła dotychczasową technikę opartą na długich tyczkach i hakach, którymi zdejmowano pnącza chmielu podczas zbiorów.

STAIRWAYS TO OHRZA

Nádražní schody – romantyczny trakt prowadzi z centrum miasta w stronę brzegu Ohry. Po drodze znajdziemy kilka godnych uwagi restauracji.



Poznaj Świat



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. VACLAV MACH - SHUTTERSTOCK

KANDYDAT DO UNESCO

Ulokowane w zabytkowym centrum unikatowe obiekty chmielarskie mają szansę zostać wpisane na listę UNESCO. Tu słodownia.

PIWNA ARCHITEKTURA

Rozwój chmielarstwa odcisnął piętno na architekturze miasta. Jej widoczną wciąż cechą są liczne kominy dawnych suszarni. Chmielowe magazyny zdominowały Praskie Przedmieście, zastępując pozostałości szaniców husytów Prokopa Wielkiego. W Žatcu nie mogło zabraknąć fabrykantów drutu z welny stalowej. Zabudowania dawnych zakładów Adolfa Mendla, Leopolda Becherta czy Leopolda Telatko wciąż można oglądać na ulicach Jana z Žatca i Purkyne. Jednak największym

klejnotem miejscowego budownictwa przemysłowego jest imponujący, neorenesansowy kompleks browarniczy wzniesiony przez dziedzica fortuny Dreherów, Antona Drehera Młodszego. Choć dziś oferuje jedynie biura na wynajem, warto przejść Żelazny Most na Ohrzy, by móc podziwiać imponującą fasadę z czerwonej cegły i piaskowca.

Ostatnia wojna nie była łaskawa dla miasta. Žatec, jak wszystkie niemieckojęzyczne miejscowości leżące u stóp Rudaw, trafił do Sudetenlandu. Wielu lokalnych przedsiębiorców wyemigrowało do Ameryki. Liczną żydowską społeczność Žatca eksterminowano. Wraz z wkroczeniem Rosjan miasto stało się widownią rabunków, mordów i wysiedleń, które z kolei dotknęły Niemców. Uprawy chmielu znacjonalizowano. Fabryki drutu stały się filią państwowych molochów. Browar Drehera został rozlewnią soków i lemoniady. Urządzenia i maszyny przeniesiono do browaru miejskiego, który od 1800 r. ze zmiennym szczęściem funkcjonował w miejscu dawnego zamku Przemyslidów. Lata powojenne nie przyniosły większych inwestycji i mimo oddanych pracowników przedsiębiorstwo stopniowo popadło w ruinę. Žatec na całe dekady pożegnał się z wielowiekową tradycją. W powojennej Czechosłowacji stał się poślednią, garnizonową miejsciną. Władze okręgowe, sądy i lokalne instytucje przeniesiono do pobliskich Loun.

Turystę odwiedzającego miasto zadziwi liczba ocalałych relikwów przeszłości. Barokowa starówka, powstała po wielkim pożarze z 1783 r., ustrzegła się ingerencji socjalistycznych planistów. Choć wiele starych, niejednokrotnie XVIII-wiecznych domów nadal jest w ruinie, widać ogromny wysiłek władz, by naprawić, co tylko możliwe. Starannie wybrukowane place, równe ulice. Na podwórkach i w ogrodach kunsztowne, poniemieckie altanki. Klimat podkreślają przedwojenne rolety, w jakie wciąż jest wyposażonych wiele sklepów. Wprawne oko wyłowi też pamiątki po powojennych repatriantach: ul. Wołyńskich Czechów czy wołyńską restaurację kawalek od starej synagogi.

Najdroższe prace konserwatorskie dotyczą jednak zabytków związanych z przetwórstwem chmielu. Jeszcze w latach 80. ubiegłego wieku noszono się z zamiarem wyburzenia nieużywanych magazynów i suszarni. Szczęśliwie dla miasta, rozbiórka nie doszła do skutku.

Gdy w 2001 r. pojawił się pomysł uzyskania wpisu na listę UNESCO, opracowano kompleksowy plan uratowania zabudowań Praskiego Przedmieścia. Dzięki unijnym dotacjom udało się wyremontować renesansową słodownię z ul. Masarykowej. To najstarszy w mieście budynek związany z browarnictwem. Między rokiem 1681 a 1775 suszono tu jęczmień. Dziś starannie odnowione pomieszczenia mieszczą galerię sztuki.

Po sąsiedztwie, na pl. Prokopa Małego, znajdują się magazyny chmielowe z końca XIX w. W drodze pieczołowitej adaptacji przekształcono je w Świątynię Chmielu i Piwa. Obok powstały nowoczesne budynki i latarnia chmielowa. Ta ostatnia nawiązuje do tzw. Nowej Wieży, która zniknęła z panoramy miasta pod koniec XIX w. Za ideą jej budowy, choć w nowej formie, stała chęć pokazania zwiedzającym całej panoramy miasta z detalami, których nie da się dostrzec z poziomu ulicy. Z wieży roztacza się widok

CHMIELARSKIE DOŻYNKI

Doćesną to druga, po majowym festiwalu piwa, impreza, którą może poszczycić się Żatec. Ściąga tysiące gości z całych Czech. W tym roku odbędzie się w dniach 6–7 września.



DROGA NA LOUNY

To przy niej zobaczymy najwięcej upraw chmielu. Można też zwiedzić zamek Stěkník, który znajduje się w sercu chmielowych pól.



FOT. SHUTTERSTOCK

na całą kotlinę, która stwarza tak korzystne warunki dla chmielowych upraw. W muzeum, na 4 tys. m², zgromadzono narzędzia i historyczne maszyny. Stare fotografie i dokumenty ilustrują tradycję uprawy i przetwarzania „zielonego złota”. Na pobliskiej farmie powstał labirynt z bel chmielu, szczególnie lubiany przez najmłodszych gości kompleksu.

KNAJPY BEZ LEŻAKÓW

Spragnieni atrakcji kulinarnych mogą odwiedzić restaurację U Orloje z małym, eksperymentalnym browarem. Przestronne, surowe pomieszczenia lokalu mieszczą imponującą aparaturę piwowarską oraz długi, miedziany bar. Restauracja oferuje skromne menu o regionalnym charakterze. Knedle z gulaszem, smažený ser, a nawet ruski barszcz podawany w niewielkich porcjach można popić ogromnymi ilościami świetnego piwa, które nadaktywna obsługa co rusz proponuje gościom.

Miłośnikom smaków nieoczywistych wypada polecić ofertę drugiego lokalu tuż przy latarni chmielowej. Pioneer Beer to najmłodszy žatecki browar rzemieślniczy, prowadzony przez czesko-słowacki duet. Pierwsza warka trafiła do klientów we wrześniu ubiegłego



FOT. SHUTTERSTOCK

roku. Firma oferuje jasne lagery oraz piwa ALE i IPA chmielone odmianami kaskade, citra oraz chmielami australijskimi. Dzięki nim trunki Pionierów zyskały smak cytrusów, mango czy pomelo.

A co z leżakiem znanym z półek w polskich marketach? Niestety, takowy tutaj nie występuje. Piwa licencyjne produkowane w Polsce i Rosji nazwami i etykietą nie nawiązują do tych warzonych na miejscu. Miłośnikom koncertów pozostaje wycieczka śladem telewizyjnych reklam, które kręcono w rynku – na namesti Svobody i nieodległym pl. Chelcického.

By poznać oryginalną ofertę dawnego browaru miejskiego, należy minąć miniaturowe pole chmielu, zabytkowy ratusz oraz położoną za nim farę. Po drodze zobaczymy Bramę Kapłańską, nazwaną tak w nawiązaniu do nieistniejącego już klasztoru minorytów. Dalej

znajduje się plac, któremu patronuje przywódca husytów Žižka. Poznamy go po wielkiej beczce ustawionej na cokole przed największym w mieście browarem – Žatecký Pivovar. Firma oferuje wycieczki połączone z degustacją, niestety jedynie dla grup zorganizowanych, liczących przynajmniej osiem osób. Z myślą o samotnych wędrowcach uruchomiono sklep firmowy. Ten, prócz piwa, sprzedaje pamiątki: kufle, koszulki, a nawet, co powszechne w Czechach, akcesoria dla rowerzystów.

Szczęściarze odwiedzający Žatec na początku września natkną się na festiwal Dočesná. W odróżnieniu od monachijskiego Oktoberfest, podczas którego biesiadnicy wypijają stare piwo przed kolejnym sezonem piwowarskim, Dočesná jest chmielarskim odpowiednikiem dożynek. Licząc sobie 150 lat imprezie towarzyszą koncerty, jarmarki i konkursy tańca z kuflem na głowie. ○



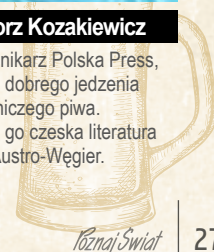
ŽATEC ŽEGNA

Na koniec wycieczki warto zobaczyć panoramę miasta. Najpiękniejszy widok rozciąga się z Milešovki, najwyższego szczytu czeskiego Średniogórza.



Grzegorz Kozakiewicz

Były dziennikarz Polska Press, entuzjasta dobrego jedzenia i rzemieślniczego piwa. Fascynuje go czeska literatura i historia Austro-Węgier.



DZIEŃ Z ŻYCIA DELTY

Piotr Porayski-Pomsta

Co prawda w delcie nie ma tak spektakularnych widoków jak w zatoce Ha-Long, lecz to właśnie tutaj kończy bieg Mekong, najdłuższa rzeka Indochin, czwarta Azji. To 40 tys. km² rozlewisk, szerokie na setki metrów ramiona głównych odnóg, połączone tysiącami kilometrów naczyń włosowatych – kanałów, kanalików, rowów wodnych, zatoczek i jezior. Labirynt nie do ogarnięcia dla ludzi ze stałego lądu, czarna rozpacz dla wszelkiej maści najeźdźców i uzbrojonych po zęby wojsk.



FOT. SHUTTERSTOCK

Tutaj – w Regionie Deltę Mekongu – gdzie nie spojrzeć, wszystko kwitnie i obrasta. Każdy skrawek łądy jest zadbany. Jak nie sad, to ogród, jak nie pole ryżowe, to hodowla drzewek ozdobnych. Cykady cykają dźwiękiem pił elektrycznych. Wzdłuż betonowych dróg soczysta trawa. Przy brzegach kanałów szpalery drzew. Z pni o szarej korze wyrastają wielkie żółtawe chropowate owoce. Ich smród przyprawia o mdłości, chociaż smakują niewinnie, jak ser pleśniowy. W delcie rosną sobie i śmierdzą swobodnie, dopiero wyeksportowane stają się utrapieniem. W Singapurze za zjedzenie owocu w miejscu publicznym płaci się karę 500 dolarów singapurskich. W Tajlandii czy Laosie przed wejściem do hoteli stoją wielkie tablice: zakaz wnoszenia durianów. Lecz im więcej zakazów, tym większa ochota bierze, by jednak spróbować.

Gdzie indziej ogromne pomelo. Zielona, gruba skóra. Rozmiary między piłką futbolową

a lekarską. Zwisają nisko i trudno je dostrzec wśród gęstej zieleni. Banany wyrastają na sztorc kilkupiętrowymi kiściami. Czerwone rambutany, rodzaj liczi, zwisają włochatymi kulkami spod koron drzew. Kilkukilogramowe kokosy tłoczą się pod gałęziami palmy: im niżej wiszą, tym są starsze. Jeśli u nasady mają żółtą obwódkę, znaczy, że są dojrzałe. Jeśli

KARAWANA PŁYNIE DALEJ

Łódź jest tu najpraktyczniejszym środkiem transportu. Dopływami rzeki i niezliczonymi kanałami można dotrzeć niemal w każdy zakątek regionu i przewieźć każdy towar, znacznie cięższy niż kwiaty.



spadną z drzewa, kładzie się je w ciemnych, wilgotnych miejscach. Wówczas skorupa lekko pęka i pojawia się zielony pęd. Potem pędy stawia się w cieniu ogrodu. Zasadzona palma wydaje owoce po czterech latach.

Tak mówi Czi, który tu żyje. Następnie wyjmując poślódką gazetę, którą znalazł kiedyś w domu. Pyta, co tam jest napisane. „Ten cudowny ogród, który mógłby wyżywić nie tylko cały Wietnam, ale część Dalekiego Wschodu, ten ogromny arsenał ludzi, w którym żyje połowa wiejskiej ludności kraju”... – czytam kawałek nadający się do odszyfrowania.¹

BAZAR NA BURYCH WODACH

Zadziwiające jest to, że mieszkańcy kąpią się w rzekach i kanałach delty, chociaż woda ma kolor bury. Zawdzięcza go obfitym błotom niesionym przez tysiące kilometrów. Ale w ostatnich dziesięcioleciach błoto coraz częściej miesza się z plamami ropy, pestycydami

i śmieciami, a mimo to w upalne dni amatorów kąpieli nie brakuje. Młodszy pływają, nurkują i parszczą, wypływając fontanny wody. Starsi nad kąpiel sportową przedkładają kontemplację. Stoją po brodę w wodzie i patrzą w przestrzeń. Nawet tego dnia, gdy niebo zaciągnęło się chmurami, lunął deszcz i waliły pioruny.

Wody delty są ich domem i zapewne dlatego to robią. Zresztą wielu ludzi urządza się na statkach. Całe rodziny tak żyją przez wiele miesięcy w roku: rodzice, dziadkowie, dzieci, a nawet psy i koty. Ich przestrzeń życiowa ogranicza się do pokładu oraz części mieszkalnej poniżej. Przy czym pokład służy zarazem za salon, taras wypoczynkowy oraz magazyn i stragan. Łodzie przypominają XVII-wieczne galeony: z przodu krótki dziób ze sterującym bukszprytem, z tyłu wyniesiona rufa z nadbudówką, burta zwężająca się ku górze, z otworami strzelniczymi służącymi za okna. Udoskonalenia sprowadzają się do zastąpienia żagli silnikiem spalinowym lub wywieszenia wzdłuż burt opon jako odbijaczy, zamiast worków czy lin. I nawet jeśli nie mają kilkuset lat,

¹ Robert Guillaing, „La guerre dans le delta du Mékong”, Le Monde 16.03.1966

ZAMIAST SZYLDU

Odnalezienie się pośród dziesiątek łodzi-straganów na targu jest niezwykle proste: towary są wywieszane na wysokich drągach, dobrze widocznych z daleka, nawet w gęstym tłoku.



łajby muszą być bardzo stare, bo woda wymyła z burt farbę i jedynie wymalowane tuż pod dziobem oczy – znak przynależności do jednego z regionów delty – błyszczą świeżością.

Na noc cumują w zacisznych kanałach. O świcie wyruszają na wielkie odnogi – Song Co Chien, Song Hau, Song Ba Lai, Song Ba Luong – gdzie łączą się z innymi. Powstaje wodny targ: kapitanowie rzucają kotwicę w uzgodnionym miejscu, unoszą wysoko drągi ze śrubami, a na maszcie eksponują towar. Dyndają ryby, kraby, wielkie krewetki, ananasy, kokosy, zioła, dynie, cebula, kapusta, pomelo, gujawa, pęczki ryżu – wszystko, co żyje i rośnie w delcie. Trudno o większą obfitość.

A gdy galeony bujają się na falach, między nie spływają się mniejsze łódki. Jedne



to obwoźne bary oferujące napoje chłodzące, a także gorące dania. Pozostałe to łodzie klientów, chociaż na pływającym bazarze Cai Rang godzina dziesiąta rano, kiedy dotarliśmy tu z Czi, to już prawie wieczór. Co miało być dziś sprzedane, dopłynęło już do domów gdzieś w głębi łądu.

Z klientów są jeszcze tylko ci, którym do bazaru dwa uderzenia wiosłem – mieszkańcy wiosek i nabrzeża Song Cang Tho. Ich domy na brzegu, wsparte na wysokich palach wbitych w dno rzeki, są co najmniej tak samo doświadczone pracą wody jak łodzie: szare, wymyte deski, smagane wiatrem i palone słońcem, niepewne dachy wyprane deszczówką, porośnięte glonami. Słabością tych domów jest to, że co kilka lat woda Mekongu zalewa je po czubki dachów, a wówczas mieszkańcy muszą uciekać – przenosić się na wyższe partie łądu albo ładować siebie i dobytek na statki.

WĄŻ W BUTELCE I NA TALERZU

Potem popłynęliśmy do fabryki łakoci. Czi, stary łasuch, bywa tam regularnie. Budynek jest większy od innych i też stoi na wodzie. Tyle tylko, że zamiast z drewna zbudowano go z betonu. Fabryka nie jest bardzo duża i pracuje w niej ledwie kilka kobiet. Maszyn w zasadzie nie ma, wszystko wyrabia się ręcznie i z miejscowych produktów – masy kokosowej, mąki ryżowej, trzciny cukrowej, papieru ryżowego, prażonego ryżu. Masę miesza się,

WSZYSTKO PŁYNIE

Na targu Cai Rang między ciężkimi łodziami sprzedawców warzyw, ryb i skorupiaków śmigają zwinne motorówki. Dostarczają spragnionym kupcom i ich klientom wodę i słodkie napoje chłodzące.





FOT. PIOTR PORĄSKI-POWIŚTA

RYŻ POWSZEDNI

W tych stronach świata ryż towarzyszy każdemu posiłkowi, w różnych postaciach: sypkiej, lepkiej, kleistej, w zależności od gatunku i fantazji kucharza. W fabryce słodczy znajduje jeszcze inne zastosowanie: po uprażeniu w ogromnym woku służy jako składnik cukierków miodowych.

odparowuje, łączy z cukrem trzcinowym, studzi, zawija w papier ryżowy i na koniec wychodzą z tego tutejsze krówki, słodsze niż czysty cukier. Krówkę można popić napojem chłodzącym, niebezpiecznym konkurentem coca-coli: zimną wodą wymieszaną z sokiem z trzciny cukrowej.

W fabryce w sprzedaży są też innego rodzaju produkty. Na przykład wyciąg pszczele. Zgodnie z ulotką jest dobry na wszystko, w tym na: cukrzycę, nadciśnienie i miażdżycę, dnę moczanową, przemęczenie, malarię, dengę, bóle w stawach, bóle mięśni. Wystarczy szczyptę położyć na języku albo dodać do herbaty. Oprócz tego w zakładzie kilka półek jest zastawionych wódką. Ma ona kolor żółty i jest sprzedawana w płaskich butelkach, ćwiartkach albo połówkach, w których pływa mała kobra i czarny skorpion. Wąż trzyma w paszczy ogon skorpiona. Wygląda bardzo przekonująco: jakby kobra chwyciła jadowity ogon w pysk. Ale zwierzęta pochodzą ze

specjalnego gospodarstwa, gdzie hoduje się je wyłącznie w takich celach, więc to wszystko ludzkie fantazje.

A to tylko wstęp do długiej listy tego, co w tych stronach świata się serwuje. Wśród tutejszych dań znajdziemy psy, koty, węże, żaby, owady, oprócz oczywiście wszystkich tych zwierząt, których jedzenie nie szokuje. Od razu nasuwa się pytanie, czy spożywanie kur, świń, krów, kóz, osłów, gołębi jest bardziej moralne. Psina jest wyjątkowo droga. W zależności od regionu podaje się ją duszoną albo pieczoną. Częściej na północy kraju niż na południu. Zresztą wielu Wietnamczykom nie odpowiada taka kuchnia. Oświadczają, że nigdy nie próbowali psa, kota ani nawet szczura. Zwłaszcza tu, na katolickim południu kraju, przeciwników nie brakuje – twierdzą oni, że takie rzeczy je niemal wyłącznie napływ z północy.

Co innego węże. Czy tłumaczy, że węża w delcie można spotkać wszędzie: na drzewie,

drodze i w wodzie. Rzeczywiście, czasem można dostrzec, jak długie, cienkie ciało śmiga zygzakiem od brzegu do brzegu. Z główką wystającą nad wodą, jak wężący piesek. Ludzie cieszą się, gdy wąż wślizgnie się do domu, bo jego mięso jest smaczne, a do tego zdrowe i delikatne. Najlepiej smakuje grillowane. W delcie przyrządza się też ogromne duszyciele w charakterze wkładki mięsnej do rosółu. W fabryce słodczy wielki zielony pyton czekał w klatce na swoje przeznaczenie. Mięso będzie na zupę, skóra na torebki i portfele, tłuszcz na pomady, po których natychmiast goją się rany. Ludzie są bardzo praktyczni, przy czym produkcja słodczy w tej fabryce wydaje się przykrywką do wszechstronnej działalności.

TO BYŁA DŻUNGLA

Pod wieczór pojechaliśmy rowerami wzdłuż kanałów. Czy obiecał, że upiecze rybę na kolację według własnego przepisu, więc obraliśmy kierunek na targ. Ale po drodze znowu złapała

nas burza z piorunami i musieliśmy schronić się w nieczynnej cegielni. Przypominała wysoką stupę, a po środku szpiczastego sklepienia miała dziurę na dym. Ale przytuliliśmy się do ścian. Strugi deszczu waliły przez komin, a powietrze trzęsło się od grzmotów. Drżeliśmy ze strachu, że piorun walnie w cegielnię i nas pozabija. Przekrzykujący naturę Czi pocieszał jednak, że – jeżeli posłuchać starych ludzi – bywało znacznie gorzej. Kiedyś było tu bardziej dziko i znaczne obszary delty porastał las. Był bardzo gęsty i mieszkano w nim wiele zwierząt. Później jednak zaczęły kryć się tu oddziały Wietkongu. Las spalono, a wraz z nim z dymem poszła cała reszta.

Wietkong był komunistyczną partyzantką Wietnamu Północnego. Do chwili zajęcia Wietnamu Południowego Hanoi nie szczędziło wysiłków, by zdestabilizować proamerykański rząd w Sajgonie. Skutecznie: odkąd Wietkong utworzył swe bazy w delcie, stał się nie do pokonania. Władze w Sajgonie na próżno próbowały odzyskać kontrolę nad ujściem

OGRÓD OBFIŃŚCI

Tak nazywa się delte Mekongu. Ziemia tu żyzna, ludzie pracowici, a klimat łaskawy dla ogrodów, pól ryżowych i sadów. O ile regionu nie nawiedzi nowy kataklizm – może nawet gorszy niż amerykańskie bomby – dostatek nie opuści tych stron.





ZRÓB SOBIE CEGŁĘ

Tradycyjna cegielnia jest w zasadzie nieczynna, jednak mieszkańcy jeszcze z niej korzystają: nowoczesność nowoczesnością, lecz gdy ta zawodzi, stare metody sprawdzają się najlepiej.

Mekong. Wysłały siły lądowe i lotnictwo, ale co zdobyły w dzień, traciły w nocy. Prawdę mówiąc, w całym Wietnamie Południowym kontrolowały tylko Sajgon oraz kilka miast i miasteczek. Ich przedstawiciele poruszali się w terenie w obstawie wozów opancerzonych. „Dwa kilometry od miasta [Quang] teren jest niepewny”. – Wspominamy inny czytelny fragment ze starej gazety: „Po czterech muszę zawrócić: to już teren nieprzyjaciela. (...) W wiosce Hoa-Thoa zwiad opancerzony natrafił na Wietkong. Wezwano lotnictwo. Ciężkie bomby 500 kg na początek, potem deszcz małych bomb z białym fosforem. – Czy zniszczyliśmy Wietkong? – Nie wiadomo – odpowiadają lotnicy – *nic nie było widać przez płomienie i dym*”.

Większość mieszkańców delty nie chciała mieszać się w wojnę. Wielu uciekło do Sajgonu. Część przystępowała do komunistów,

bo dawali im więcej przywilejów i nakładali mniej obciążeń niż ich własny, teoretyczny, rząd. Inni byli wcielani do partyzantki siłą. Bomby spadały na wszystkich. Wspierający południowców Amerykanie zrzucali też hektolitry napalmu, czynnika pomarańczowego – pestycydu, który wyžerał wszystko do gołej ziemi – tony bomb defoliacyjnych, a strzelcy kawalerii powietrznej sprzymierzonych polowali na tych, których nie zabił ogień i chemia. Tymczasem rząd w Sajgonie za dnia wysłał do delty przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości, których – z powodów czysto praktycznych – wyposażono w przenośną gilotynę.

Nic dziwnego, że ludzie delty przestali lubić i Amerykanów, i swój rząd. A Wietkong rósł w siłę. W 1975 r., gdy wojska Wietnamu Północnego zajęły Sajgon, ludzie na południu liczyli jednak na pojednanie narodowe. Ale komunistom tego rodzaju „liberalne” koncepcje



NA POKŁADZIE W DZIEŃ TARGOWY

Chociaż na wodzie przestrzeni jest dużo, kupcy wolą zbijać się w ciasne grupy. Targ stałby się smutnym supermarketem w plenerze, gdyby nie kwitnące życie towarzyskie – nieodzowny kompan dobrych interesów.

były obce. Wszystkich ideologicznie podejrzanych wysyłali do obozów reedukacyjnych, z których wielu nigdy nie wróciło. Mieszkańców delty pozostawiano jednak na ogół w spokoju. Więc gdy nawałnica minęła, znów mogli uprawiać swoje ogrody.

OSTATNI ODDECH MAKRELI

W końcu deszcz zelżał i ruszyliśmy w drogę. Potrzebowaliśmy świeżej kurkumy, liści bananowca i ziół – kolendry, bazylii, mięty i Czi długo przebierał, krzywił się, wachał, zanim znalazł to, czego chciał. Prawie zapadł zmrok, gdy dotarliśmy do ryb. Dużo tego było: w płytkich misach łapały powietrze wielkie czerwone karpie królewskie. Krewetki duże i małe tłoczyły się, podrygując na płaskich tacach. Czarne kraby deptały się w wysokim wiadrze. Na talerzu długie węgorze plotły się

w warkocze. Żaby ze związanymi nogami próbowały wyskoczyć z głębokiej miski... Gdy Czi z błyskiem w oku wskazał na dorodną makrelę, przekupka lewą ręką chwyciła zwierzę i położyła sobie na kolanach. Prawą ręką sięgnęła po nożyce i zanim jeszcze ryba wyzionęła ducha, obciąła jej płetwy, ogon i na koniec głowę. Następnie nożem rozciąła brzuch i wyrzuciła wnętrzności do miski. Tak oczyszczoną rybę wrzuciła do foliowej torby.

W domu Czi pokroił kardamon na plasterki, rybę w kostki, a wszystko razem z ziołami zawinął w liście bananowca i włożył do pieca. Potem zasiedliśmy za stołem w ogrodzie. Pałeczkami chwytałyśmy kawałki mięsa, maczałyśmy w sosie rybnym i wkładaliśmy do ust. Pojadaliśmy kleistym ryżem i popijali żółtą wódką z fabryki łakoci, krzycząc: „*Mot Hai Ba Jo! Na zdrowie!*”. Nocą cykady piłowały znacznie głośniejsze niż za dnia. ○



Piotr Porayski-Pomsta

Prozaik, tłumacz, publicysta, podróżnik, maratończyk i cyklista. Uzależniony od języków obcych. Niestrudzony poszukiwacz świętego spokoju, miłośnik dobrej kuchni, książek i głębokiego snu. Wydał zbiór opowiadań „Wycieczka” (Agawa, 2015). W trakcie publikacji zbiór reportaży z podróży po Etiopii.

WODA ZAŚWIECI, DŻUNGLA ZAŚPIEWA

Ewa Treszczotko

Siedzę na tarasie i nie spieszę się nigdzie, bo godzina nie ma znaczenia na Karaibach. Znalazłam się na wyspie Portoryko, w kraju niezależnym i zależnym zarazem, gdzie prezydentem jest Donald Trump, a styl latino splata się z amerykańską komercją. Jest trochę jak w USA, ale bez poczucia bezpieczeństwa. Są prawdziwi nędzarze, heroina i bałagan – ale jedzenie w sklepach jak w markecie na Manhattanie i z takimi samymi cenami. Poza tym... stress-less, jak mawiają boricuas, czyli rodowici mieszkańcy wyspy.



FOT. PIERO ENRISTO CARDOSO - SHUTTERSTOCK



MIASTECZKO SMAKÓW

Autorka obok jednej z licznych restauracji przy Szlaku Pieczonego Prosiaka, w miasteczku Guavate słynącym z tradycyjnej kuchni.

Pierwsze dni spędziłam w Casco Viejo, zabytkowej części San Juan, którą tłumnie okupują turyści. Tam również zatrzymują się wielkie statki wycieczkowe. Historyczna część stolicy jest piękna, ale za bardzo turystyczna. Wyjątkiem jest 600-metrowy odcinek przybrzeżny La Perla, gdzie zaglądają tylko najodważniejsi. La Perla była kiedyś prawnie wyznaczona jako miejsce dla niebiałej służby i byłych niewolników. Jest oddzielona wałem ziemi od miasta. Kontrast i oczywistą izolację od bogatego centrum widać do dziś. Ta budząca strach mikrodzielnica stała się jeszcze sławniejsza w 2017 r., kiedy nakręcono tu teledysk do popularnej również w Polsce piosenki „Despacito” Luisa Fonsi i Daddy’ego Yankee.

Kilka dni później przenieśliśmy się do robotniczej dzielnicy Santurce. W internecie czytałam, że to mroczne getto i w nocy lepiej tam nie wychodzić z domu, ale po tygodniu wiedziałam, że internetowe komentarze wyolbrzymiają rzeczywistość. Zamieszkałam w hostelu, gdzie w zamian za pracę na ćwierć etatu nie płaciłam za nocleg. Żyłam jak *boricua*. W ciągu dnia spacerowałam ze słuchawkami na uszach i telefonem w dłoni bez obawy, że mi ktoś je wyrwie. Nawet raz o godzinie 21.30 wyszłam sama do sklepu spożywczego.

REGGAETON JAK DISCO POLO

Kocham podróżować sama. Paradoks polega na tym, że podróżując solo, zawsze ma się towarzystwo, bo jest się bardziej otwartym na znajomości ze względu na podświadomy instynkt przetrwania i chęć odnalezienia grupy. Hostel odwiedzało zaledwie paru gości. Wymieniłam się numerami telefonów z pracownikiem stacji benzynowej, kelnerem i recepcjonistą z siłowni, a także z przypadkowymi podróżującymi, którzy znaleźli mnie przez aplikacje mediów społecznościowych. Dzięki temu miałam z kim pójść na słynną La Placita, czyli dosłownie „skwerek, placyk”. To znane w całym San Juan, stolicy Portoryko, miejsce pełne barów i dyskotek, gdzie mieszkańcy stolicy tłumnie przybywają w sobotnie i piątkowe noce, aby pobawić się przy rytmach reggaetonu.



Portoryko to światowa stolica tego stylu, będącego mieszanką reggae, rapu i hip hopu. Reggaeton narodził się tu pod koniec lat 90. i szybko zdobył sławę. Dziś w większości Ameryki Łacińskiej jest odbierany jak disco polo w Polsce. Każdy podróżnik odwiedzający wyspę powinien pójść na lokalną potańcówkę i potraktować to jako doświadczenie kulturowe.

Muzyka to jeden z najlepszych towarów eksportowych Portoryko. Ta wyspa to ojczyzna światowej sławy piosenkarzy, jak choćby Jennifer Lopez czy Ricky Martin.

**SZLAKIEM
PIECZONEGO PROSIAKA**

Najważniejszą rzeczą, którą trzeba wiedzieć o Portoryko, jest komunikacja. Bez samochodu przemieszczanie się jest wyzwaniem. Między-miastowy transport publiczny to coś, o czym niejeden tutaj słyszał, ale nigdy go nie widział. Brak transportu publicznego na Portoryko



zmusił mnie do nawiązywania coraz to nowych przyjaźni, szczególnie z osobami zmotoryzowanymi. Tym razem była to wymiana umiejętności: ja znam perfekcyjnie hiszpański, a ty, Kevinie z Teksasu, masz służbowy samochód. Nastąpiła podróżnicza symbioza.

Zaczęliśmy od ukrytych kaskad w wilgotnym lesie równinowym Parku Narodowego El Yunque. Kąpaliśmy się w zimnych wodospadach tropikalnego lasu, a potem pokonywaliśmy leśne szlaki, podziwiając bujną roślinność.

Po tropikalnym lesie roznosiła się huczna muzyka z głośników podłączonych do samochodowego akumulatora. Może to małpy wydają godowe okrzyki? Nie. To portorykańska rodzina urządziła polowe karaoke. Kocham tę swojskość i naturalną spontaniczność małych społeczności. Czuję się jak w filmie Emira Kusturicy „Czarny kot, biały kot”, tylko w wersji karaibskiej. Śmiech, jedzenie prosto z glinianego pieca, względna bieda, ale szczerza radość. Akurat trzy starsze panie śpiewają „Poker Face” Lady Gagi, czytając tekst z przenośnego komputera i energicznie machając biodrami do rytmu. Prawdziwa karaibska prowincja w Loiza de Piñones.

HISTORIA NA PASTELOWO

Casco Viejo, historyczna część stolicy Portoryko, ulokowana między dwiema hiszpańskimi fortecami z XVI w. Przyciąga turystów zabytkami oraz przyjaznymi pastelowymi kolorami.



Tropikalny las, komercyjna amerykańska muzyka, latynoska rodzina i lokalne przysmaki popijane wodą prosto z kokosowej skorupy – wszystko to tworzy cokolwiek absurdalny, a zarazem piękny harmider. Spróbowałam lokalnych przekąsek *arcuri*, czyli kukurydzianego ciasta nadziewanego wieprzowiną albo mięsem z kraba, oraz *bacalaitos* – racuchów z rybem posmakiem. Dla takich momentów warto podróżować!

Tydzień później don Francisco, sędziwy właściciel hostelu, w którym byłam wolontariuszką, zabrał mnie do miasteczka Guavate, położonego w sercu portorykańskiego interioru. To miejsce słynie z tradycyjnego jedzenia, w szczególności z potraw z wieprzowiny. Trzymilowy odcinek drogi numer 184 nazywa się Szlakiem Pieczonego Prosiaka (La Ruta de Lechón). Każda niedziela w Guavate wygląda jak festyn, a pobocza dróg są zastawione autami przyjezdnych.

ULICA AMERYKI

Hostel przy Calle de América w Santurce, robotniczej dzielnicy San Juan, w którym autorka, w zamian za darmowy nocleg, pracowała jako wolontariuszka.



ZUMBA, BACARDI I NARKOTYKI

Padło prawie codziennie – długie i ciepłe, tropikalne ulewy. Gdy było sucho, chodziłam na plażę do luksusowej dzielnicy Condado. Praca w hostelu była świetna i – jak wszystko na Portoryko – niestresująca. Czasem chodziłam na zajęcia zumby do pobliskiego centrum sportu. Chociaż poznani ludzie w dzielnicy Santurce byli uśmiechnięci i pomocni, musiałam mieć się na baczności. Pomiędzy hostelem a Parkiem Central, gdzie odbywała się zumba, była baza handlarzy narkotyków, powszechnie znana jako La Colectora – największy punkt sprzedaży kokainy, heroiny i marihuany na Portoryko.



Mimo że hostel i centrum sportu dzieliło 25 minut spaceru, musiałam zamawiać taksówkę. Inni uczestnicy zumbą surowym, choć pełnym troski tonem zabraniali mi wracać pieszo. Z okien taksówki widziałam, że okolica wygląda jak opuszczona, a pojedyncze osoby widziane przez szyby samochodu robiły wrażenie nieobecnych.

W zeszłym roku, 22 czerwca 2018 r., amerykańska organizacja rządowa do walki z narkotykami DEA aresztowała aż 97 osób zamieszanych w handel narkotykami w okolicach La Colectora. Aresztowania były poprzedzone trwającym cztery lata śledztwem.

Rum Bacardi pija się na każdym kontynencie. Irlandia słynie z guinnessa, Szkocja jest czołowym producentem whisky, moje rodzinne Podlasie ma żubrówkę, a Portoryko – Bacardi. Ale czy na pewno ma prawo nazywać ten trunek rodzimym? Historia tej marki jest pełna kontrowersji, jako że don Facundo Bacardi Masso założył najstarszą fabrykę rumu na Kubie i tylko ze względu na sytuację polityczną w swoim kraju przeniósł biznes na Portoryko.

Dziś muzeum o nazwie Dom Bacardi jest jedną z głównych atrakcji turystycznych w okolicy San Juan. Można tam poznać

DZIKA PLAŻA

Vieques to jedna z małych wysp (135 km²) wchodzących w skład terytorium administracyjnego Portoryko.

LAS NIEKUMATEJ ŻABY

Park Narodowy El Yunque znajduje się na wschodzie wyspy i jest jednym z nielicznych na Karaibach tropikalnych lasów deszczowych. Słynie z wielu gatunków paproci i storczyków, a jego najbardziej znaną mieszkanką jest żaba *coquí* – jeden z symboli narodowych Portoryko. Płaz zawdzięcza nazwę nietypowym dźwiękom, jakie wydają samce w celu oznaczania terenu.

historię rumu, zwiedzić fabrykę i oczywiście przeprowadzić degustację.

KAJAKIEM PRZEZ LUMINESCENCJĘ

Przeciętny podróżnik powie, że Portoryko to wyspa na Karaibach, ale prawdziwy obywatel wie, że na ten kraj składają się też mniejsze wyspy, między innymi Vieques. Znajduje się tam słynna Bioluminescent Bay, czyli Świecąca Zatoka. To unikalne w skali światowej miejsce, gdzie dzięki bakteriom żywe organizmy świecą pod wpływem ruchu. Dzieje się tak szczególnie, kiedy księżyc jest prawie niewidoczny, czyli w końcu ostatniej kwadry, ale jeszcze przed nowiem.

Gdy usłyszałam o wyprawach kajakiem w środku nocy po świecącej wodzie, wiedziałam, że muszę to przeżyć. Pojechałam

do oddalonego o 60 km od stolicy portu w Fajardo. Tam czekałam trzy godziny na statek. Później płynęłam dwie godziny i dotarłam na wyspę Vieques. W miejscowości Esperanza wykupiłam wycieczkę kajakiem w nocy. Trwające około godziny doświadczenie, łącznie z dojazdem spod hostelu, kosztowało 50 USD, ale warto było.

Poza świecąca woda na Vieques jest jeszcze inne rzadkie w skali świata miejsce – Glass Beach, czyli Szklana Plaża, gdzie można znaleźć kolorowe kawałki naturalnego szkła.

W POTRZASKU AUTOSTOPU

Skoro nie ma tu transportu publicznego, a wszyscy mają auta, będę zwiedzać Portoryko autostopem, pomyślałam. Namówiłam gościa hostelu, Dennisa, amerykańskiego Azjatę z Chicago, aby mi towarzyszył.



FOT. SHUTTERSTOCK

POWOLUTKU...

Dachy La Perla, biednej i niebezpiecznej enklawy San Juan, ale słynnej z nakręconego tu teledysku „Despacito” („Powolutku”) Luisa Fonsi i Daddy’ego Yankee – światowego przeboju lata 2017.



FOT. EWA TRESCZOTKO

Następnego dnia rano don Francisco podwiózł nas na obrzeża San Juan i wysadził przy ruchliwej drodze.

Godzinę łapaliśmy autostop, aż w końcu ktoś się zatrzymał... Był to nieoznakowany samochód policyjny. Panowie spisali nasze dane i odwieźli pod hostel. Nie poddaliśmy się tak łatwo. Zjedliśmy śniadanie i pojechaliśmy na drugi koniec miasta, na inną drogę wylotową, tym razem bardziej lokalną. Najpierw starszy pan podwiózł nas do Arecibo, a potem zabrał nas jakiś delikwent, jak się później okazało, ze sporą kryminalną przeszłością. Chłopak zawiózł nas na zachodnie wybrzeże, do Aguadilla na plażę Crash Boat, gdzie poza pięknymi widokami można spotkać miłośników sportów wodnych i muzyki Boba Marleya.

Czas mijał tam wesoło. Ale przed zmierzchem staliśmy znów przy drodze. Jednak nikt się nie zatrzymywał, aby podwieźć nas do stolicy. Utknęliśmy więc przy stacji benzynowej 80 km od San Juan. Przypadkowi

ludzie reagowali na nas nieufnie. Na Portoryko z zasady nie praktykuje się jazdy autostopem, więc było nam trudno znaleźć chętnych na podwiezienie, a po zmroku szanse były minimalne. Znaleźliśmy się w potrzasku. Sytuację uratował dopiero kierowca taksówki, którego numer zapisałam w telefonie jeszcze na początku pobytu w mieście. Wiedziałam, że wpadłam mu w oko, więc był chętny do pomocy. Przyjechał za bardzo niską cenę, co uratowało nas od spania na krawężniku. Ale ten dzień był świetną przygodą!

Następnego dnia odbywały się wybory na gubernatora Portoryko. Wiecie, co to oznacza dla mieszkańców? Prohibicję przez pierwszą połowę dnia, a później fiestę. Bo takie właśnie jest Portoryko – pół na pół, jedną nogą w zachodniej kulturze USA, a drugą w świecie latynoskiego chaosu.

I to był akurat mój ostatni dzień na wyspie. Udałam się ponownie do Casco Viejo. Pożegnałam się z hostelem i poleciałam do Nowego Jorku. ◯



Ewa Treszczotko

Przed trzydziestką odwiedziła 60 państw. Absolwentka stosunków międzynarodowych na ul. i kulturoznawstwa Ameryki Łacińskiej na uw. Certyfikowany trener personalny oraz absolwentka American Fitness and Nutrition Academy w Kalifornii. Mówi biegle w pięciu językach. Mieszka w Londynie. Pochodzi ze Starego Berezowa na Podlasiu.

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

PANNONICA – FESTIWAL W RYTMIE SLOW



W Barcicach między 29 a 31 sierpnia odbędzie się jeden z największych i najważniejszych festiwali muzyki etnicznej i bałkańskiej w Polsce. Pannonica Festival co roku przyciąga liczną, kolorową, międzynarodową publiczność szukającą wyjątkowych wrażeń i emocji, a przede wszystkim – tradycyjnej muzyki. W „krzakach nad Popradem” bardzo łatwo wpaść w rytm slow. Na scenie zabrzmi ognista, energetyczna i porywająca muzyka bałkańskich orkiestr, a poza sceną będzie można zakosztować niespiesznego rytmu festiwalowej wioski. Otoczenie Popradzkiego Parku Krajobrazowego sprzyja odcięciu się od cywilizacji i bezkarnemu wrzuceniu trybu offline. Każdy dzień

można rozpocząć poranną jogą, warsztatami z samorozwoju, zbierania ziół czy domowej produkcji ekologicznych kosmetyków (organizatorzy oferują ponad 60 wydarzeń towarzyszących). Ważnym elementem są strefy gastronomiczne z lokalnymi przysmakami nie tylko z Polski. Tematem przewodnim tegorocznej edycji jest „The Legendary!”, na scenie wystąpią: Bora Dugić, Goran Bregović and His Funeral & Wedding Band, Bulgarian Voices Angelite, Kočani Orkestar czy Adam Strug.

www.pannonica.pl

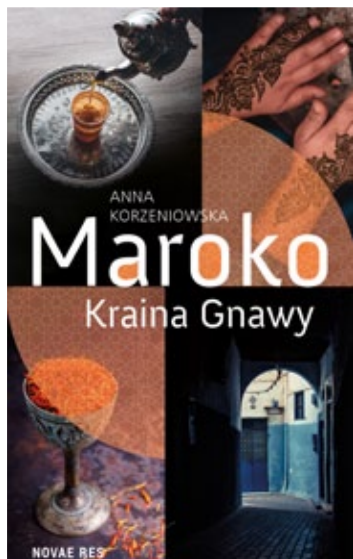
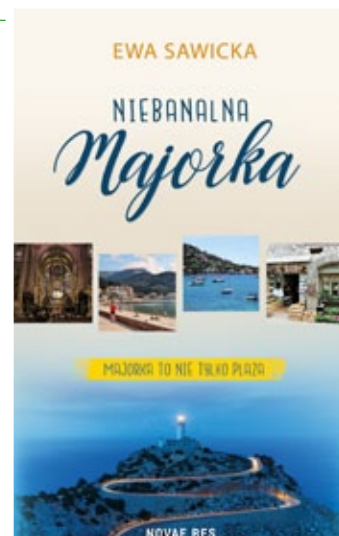


SAFARI. ZAPISKI PRZEWODNIKA KARAWAN

To kilkadziesiąt historii opowiedzianych przez człowieka, który w Afryce spędził pół życia. Wszystkie zdarzyły się podczas safari prowadzonych przez Pawła Kardasza w latach 1994–2017 w różnych afrykańskich krajach na południe od równika. Nie są to opowieści o samych wyprawach, ale o tym, co wydarzyło się po drodze, przy okazji, niespodzianie. Posłuchajmy współczesnego przewodnika karawan, który opowie nam, co robić, kiedy pośrodku bezdroża odmówi współpracy skrzynia biegów, jak można zgubić turystę w wąwozie o pionowych ścianach i dlaczego nie należy dawać sójek pod żebra, nie upewniwszy się, do kogo te żebra należą. Dowiemy się, że nie powinniśmy okazać zdziwienia, kiedy wódz wioski po omówieniu pogody, stanu zdrowia swojej rodziny czy pogłowia stada zapyta nas nagle o prezydenta naszego kraju. Gawęda zaprowadzi nas do barwnych postaci Mamy Roché i Pana Łosia, do sierżanta z Legii Cudzoziemskiej i do uzdrowiaczy. Będzie też nieco historii, zarówno tej kolonialnej, jak i współczesnej: zamachy stanu, przewroty, rewolucje. Wydawnictwo Bernardinum.

NIEBANALNA MAJORKA

Majorka to jedno z tych miejsc, które biura podróży lubią określać mianem raju na ziemi. I nic dziwnego – przepiękne plaże, ciepłe morze i roślinność jak z bajki gwarantują, że urlop będzie udany. Ale na tej urokliwej wyspie zachwycać się można nie tylko przyrodą. W książce „Niebanalna Majorka” Ewa Sawicka odkrywa wszystkie jej mniej znane zalety, opisując ten mały skrawek Śródziemnomorza bez zbędnego lukrowania. Znajdziemy tu garść danych statystycznych, sporo faktów historycznych, trochę anegdot i wiele obserwacji, które autorka zebrała podczas swoich podróży. Dlaczego Majorkańscy protestują przeciwko masowej turystyce i o co toczyła się wojna ręcznikowa? Śladami jakich słynnych postaci warto podążać? I czy na wyspie dogadamy się po hiszpańsku? Ten subiektywny przewodnik pozwoli znaleźć odpowiedzi na te i mnóstwo innych pytań. Wydawnictwo Novae Res.



MAROKO. KRAINA GNAWY

Maroko wydaje się równie fascynujące, co nieosiągalne, a nawet niebezpieczne. W głowach Europejczyków wciąż funkcjonuje mnóstwo krzywdzących stereotypów na temat tego kraju, a tymczasem jest on niezwykle przyjazny, dostępny i otwarty na przybyszy z Zachodu. Można tu spędzić noc na pustyni, zwiedzić majestatyczne kazby, zabłądzić w wąskich uliczkach medyny czy skosztować aromatycznego tadżinu. A to tylko początek atrakcji, jakie czekają na turystów. Anna Korzeniowska dzieli się informacjami i przemyśleniami dotyczącymi wszystkiego, co powinniśmy wiedzieć, nim ruszymy do Afryki Północnej. Jak się targować, by nie obrazić sprzedawcy? Dlaczego marokańska herbata jest taka słodka? I najważniejsze: co zrobić, by porzucić uprzedzenia i otworzyć się na odmienną kulturę, religię i sposób na życie. Wydawnictwo Novae Res.

MŁODZIEŻ POMOŻE W INDIACH



Już po raz 18. młodzież z Uniwersyteckiego I Liceum Ogólnokształcącego w Chorzowie wyrusza, żeby poznać kulturę, różnicowanie religijne i przyrodnicze Indii, a także nieść pomoc w ośrodkach Matki Teresy w Kalkucie. Po przylocie do Bombaju udadzą się do Valivade, gdzie w trakcie II wojny światowej powstał obóz dla ponad 5 tys. polskich uchodźców. Dalej pojadą przez Adżantę i Elurę z wykutymi w skale buddyjskimi świątyniami, Aurangabad i Khajuraho aż do Kalkuty, gdzie będą pomagać chorym i umierającym. Odwiedzą Bodh Gaję, święte miejsce buddystów, żeby później dotrzeć do Varanasi. Tam spędzą kilka kolejnych dni, poznając wierzenia hindusów kremujących zwłoki nad Gangesem. Po ruszeniu na zachód dotrą do Amritsaru ze Złotą Świątynią – najważniejszym obiektem kultu sikhów – i znajdą się tylko osiem kilometrów od granicy z Pakistanem. Młodzież spędzi prawie trzy tygodnie w Himalajach, często



przebywając na wysokościach przekraczających 5000 m n.p.m. Na sam koniec odwiedzą Agrę ze słynnym grobowcem Tadž Mahal oraz stolicę Indii – Nowe Delhi, żeby po prawie dwóch miesiącach wrócić do Polski. www.penepena.pl



FOT. MAT. PRASOWE

POLAR PROJECT



Zmiany klimatyczne mają ogromny wpływ na całą planetę, ale najmocniej są widoczne na obszarze Arktyki. Z początkiem sierpnia rozpoczęła się wyprawa naukowo-badawcza studentów z Wydziału Nauk Geograficznych i Geologicznych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu do Stacji Polarnej AMUPS na Spitsbergenie. Wyjazd potrwa półtora miesiąca. Młodzi naukowcy będą prowadzić na Arktyce wiele badań z różnych dziedzin geografii, ale głównie zajmą się obserwacją wpływu zmian klimatu na lodowce archipelagu Svalbard. W wysuniętej najdalej na północ polskiej stacji badawczej studenci będą mieli okazję nie tylko przeprowadzić wartościowe pomiary, ale również na własnej skórze przekonać się, jak dzika i niebezpieczna, a zarazem piękna jest kraina niedźwiedzi polarnych. www.facebook.com/PolarProjectUAM
www.instagram.com/tomaszkurczaba

WYPRODUKOWANO POD ŚNIEŻKĄ

6 września odbędzie się 17. Wystawa Produktów Regionalnych Wyprodukowano pod Śnieżką. W sercu Jeleniej Góry, na placu Ratuszowym, znów będzie pachnieć miodami, serami, naturalnym wędlinami, przyprawami i chlebem. Wszystko za sprawą ponad stu wystawców z polskiej i czeskiej strony gór. Uczcie dla podniebienia będzie towarzyszyć uczta dla oka, bowiem lokalni twórcy zaprezentują też efekty pracy swoich rąk. To prawdziwa gratka dla amatorów regionalnych pamiątek. Dla ducha organizatorzy przewidzieli występy lokalnych kapel folkowych oraz koncert gwiazdy. W tym roku będzie nią Gooral. Nie zabraknie kreatywnych animacji i warsztatów dla dzieci. Zostaną też przyznane nagrody „Karkonoskie Jelonki” w dwóch kategoriach: „Najlepszy produkt regionalny” oraz „Najlepszy produkt spożywczy”. Nowością będzie „Bitwa na Smaki”, która rozegra się pomiędzy amatorami domowej kuchni a profesjonalistami.

www.karr.pl



FOT. TOMASZ RACZYŃSKI

ZŁOT FANÓW KANCIAKA

W dniach 15–18 sierpnia w Pokrzywniej po raz 14. spotkają się fani volkswagena transportera t3, tak zwanego „kanciaka”, a także ww t2 i t3. Każdego dnia będą organizowane konkursy, a wieczorami odbędą się koncerty zespołów rockowych i bluesowych. Będzie ognisko, kiełbaska, smalec. Będzie można też wybrać się na wycieczki, np. do browaru rzemieślniczego w Nysie.



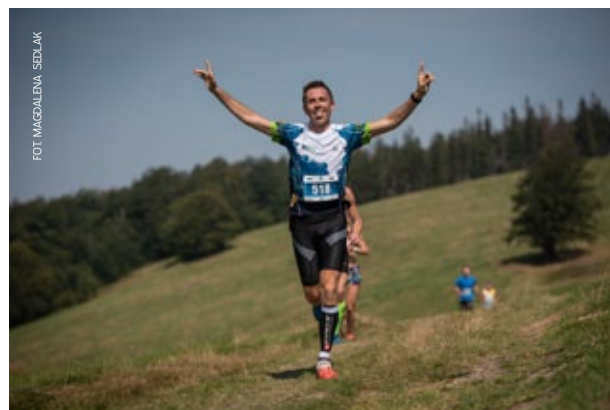
FOT. KRZYSZTOF KAZMERCIĄK



FOT. KRZYSZTOF KAZMERCIĄK



FOT. MAGDALENA SEDLAK



FOT. MAGDALENA SEDLAK

DOLINA LEŚNICY BIEG O BREŃSKIE KIERPCE

18 sierpnia w Brennej odbędzie się 7. edycja Doliny Leśnicy Biegu o Breńskie Kierpce, którego poprzednia odsłona została uznana Najlepszym Polskim Biegiem Górskim w gronie ponad 300 innych, które odbyły się w 2018 r. Trasa anglosaskich zmagarów (podbiegi i zbiegi) liczy 15,3 km. Organizatorzy spodziewają się 500 zawodników. W ramach imprezy przewidziano także biegi dla dzieci i młodzieży.

www.brenskiekieierpce.pl

POZNAJ ŚWIAT ZE SKAT

Konkurs fotografii podróżniczej Poznaj Świat ze SKAT! jest organizowany od 2014 r. Jest to otwarty konkurs fotografii podróżniczej dla pełnoletnich amatorów i profesjonalistów o zasięgu ogólnopolskim. Główną nagrodą w 18. edycji jest rejs promami armatora Stena Line, publikacja pracy w miesięczniku Poznaj Świat oraz udział w wystawach pokonkursowych. Prace można zgłaszać za pomocą aplikacji konkursowej na stronie poznajswiatzeskat.pl w dniach 1–20 sierpnia br.







ŚMIERĆ PRZYBRANA NA BIAŁO

Agata Kurzańska

Na lotnisku w Kolombo wylądowałam 21 kwietnia, dwie godziny po sześciu wybuchach w kościołach i hotelach na Sri Lance. Niczego nieświadoma obserwowałam psy obwąchujące bagaże oraz sztaby policji wokół lotniska. Wzmoczoną kontrolę tłumaczyłam sobie okresem przedświątecznym. Znalazłam taksówkę i wskazałam adres hotelu. Nie wiedziałam wtedy, że w czasie mojej podróży z lotniska do miejscowości Panadura, oddalonej od Kolombo o jakieś 40 km, doszło do kolejnych wybuchów. O tym, że znaleziono bombę w pobliżu lotniska, też dowiedziałam się później.



STAN ALARMOWY

Dworzec w Kolombo, szczególnie strzeżony przez pierwsze dni po zamachach. Przy wejściach stali uzbrojeni policjanci, a wszyscy pasażerowie byli poddawani dokładnej kontroli bagażu. Miejsc publicznych pilnowało również wojsko.

Jedyne, co mnie zastanowiło, to czas jazdy samochodem. Przed wylotem sprawdziłam, że dojazd z Kolombo do Panadury to jakieś 30 minut, tymczasem moja podróż trwała ponad półtorej godziny i miałam wrażenie, że polne drogi pełne dziur nigdy się nie skończą.

W wesołej rozmowie z taksówkarzem zahaczyłam go o gospodarkę kraju, zarobki mieszkańców i życie na wyspie. Już na wstępie popełniłam faux pas, pytając go o zdanie

na temat króla. Stanowczo i z dumą w głosie poprawił mnie, że Sri Lanka jest republiką z prezydentem na czele. Zapytałam zatem, jaki jest prezydent? Krótko i jeszcze bardziej stanowczo odpowiedział „dobry”, ucinając całą dyskusję. Nie wspomniał ani słowem, co stało się przed kilkoma godzinami. Być może nie chciał mnie niepokoić.

W ŚRODKU ZAMACHÓW

Gdy dojechaliśmy do hotelu, w oczekiwaniu na pokój postanowiłam powiadomić rodzinę o szczęśliwym dotarciu na miejsce, ale mimo że połączyłam się z internetem, nie działał żaden z komunikatorów. Odłożyłam więc na później kontakty z rodziną, poszłam do restauracji i zachwycam się kolorowymi jajkami z czekolady – w końcu była Wielkanoc. Okna restauracji wychodziły na Ocean Indyjski, bujna roślinność przy plaży przypominała mi, że jestem na Ceylonie i że przyjechałam spełnić moje podróżnicze marzenie.

Wzięłam telefon do ręki, chcąc zrobić kilka zdjęć widokom za oknem, i zobaczyłam na



ekranie nieodebrane połączenia od osób, od których zupełnie bym się ich nie spodziewała. Przychodziły SMS-y o treściach: „Nic Ci nie jest?“, „Dlaczego do cholery nie dajesz znaku życia?!“. Jakby naraz wszyscy bali się, czy wylądowałam, przecież co miesiąc gdzieś latam.

Udałam się do recepcji, a tam stała grupa turystów z Japonii, która właśnie chciała wymeldowywać się z hotelu. Podśledzałam, że pilnie skracają pobyt i proszą o jak najszybsze połączenie na lotnisko.

– *Czy mogę zadzwonić do Polski? Muszę skontaktować się z rodziną* – spytałam. Zanim recepcjonistka zdążyła odpowiedzieć, turystka z Kanady wsunęła mi do ręki swój telefon i powiedziała, żebym powiadomiła rodzinę, że żyję. Prosiła tylko, aby rozmowa była krótka. Zdziwiona, ale zadowolona, wybrałam numer mojej mamy. Ta zaś, zapłakana, zapytała, w której części wyspy jestem i czy nic mi nie jest... Chciałam dociekać, skąd ten niepokój, ale krótko powiedziałam, że wszystko jest w porządku i że muszę kończyć, bo nie chcę narażać na koszty uprzejmej turystki.

W końcu w wyszukiwarkę wpisałam „Sri Lanka wiadomości” i... wszystko stało się jasne. Dowiedziałam się też, że władza w celu uniknięcia rozprzestrzeniania się fałszywych informacji wyłącza dostęp do sieci społecznościowych. Sri Lankę planowałam od dwóch lat, a tymczasem trafiłam tam w czasie zamachów terrorystycznych. Zrozumiałam, że wyjazd będzie zupełnie inny niż wszystkie poprzednie.

Mimo ostrzeżeń tutejszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie przerwałam podróży jak spotkani w hotelu Japończycy. Zaczęłam jeździć po całym kraju i rozmawiać z ludźmi – po to, by opisać to, czego doświadczyli.

MARTWA DZIEWCZYNA W KWIATACH

Od Niedzieli Wielkanocnej został wprowadzony stan wyjątkowy i godzina policyjna, najpierw od 18 do 6, dzień później 20–6, a następnie 22–6. W tym czasie ulice były puste, gwarne za dnia rynki również, a sklepy i restauracje zamknięte. Autobusy kursujące po 22 były kontrolowane przez policję co



MIAŁA 24 LATA

Szara była recepcjonistką w hotelu Tropical Inn. i za miesiąc planowała swój ślub. Stała się jedną z 258 ofiar terrorystów.





FOT. AGATA KURZANSKA

W ŻAŁOBIE

Po wielkanocnych zamachach ulice, domy i pojazdy zostały przybrane na białe. Biel w kulturach Wschodu symbolizuje żałobę, a w tych dniach Sri Lanka przeżywała ją szczególnie boleśnie.



FOT. AGATA KURZANSKA



kilka kilometrów. Na dworcach kolejowych głównych miast porozstawiano bramki, gdzie służby kolejowe bądź policjanci sprawdzali zawartości plecaków podróżnych.

Drugiego dnia po przyjeździe, czyli w Poniedziałek Wielkanocny, wybrałam się w podróż z Panadury, przez Kolombo do Kandy, żeby ostatecznie przejechać malowniczą trasę pociągiem do Elly. Ciągące się kilometrami plantacje tworzyły bajkowy wręcz krajobraz. Pociąg, przeznaczony pierwotnie do transportu cejlońskiej herbaty, już dobrych parę lat temu zmienił swoje zadanie i stał się atrakcją turystyczną. Trzecią klasę zajmują w nim Lankijczycy, najczęściej pracownicy plantacji. Druga i pierwsza natomiast należy do turystów. Prześcigają się, kto pierwszy stanie w drzwiach, otwartych przez całą drogę, żeby wykonać najlepsze ujęcia. Drugim pożądanym miejscem są siedzenia przy oknie.

Obserwowałam przez nie białe flagi przywiązane do słupów, do bram, do lusterek w samochodach i autobusach. Kolor biały, jak we wszystkich kulturach Wschodu, symbolizuje śmierć, żalobę, smutek. Ale podróżni, którzy tak jak ja zdecydowali się zwiedzać kraj na własną rękę, nie sprawiali wrażenia szczególnie

przejętych czy wystraszonych sytuacją. Nie wykazywali także zaciekawienia bielą spowijającą miasta. Kilka mijanych budynków było przybranych nią w całości – to domy ofiar zamachów.

Gdy wróciłam do Panadury po dwóch dniach zwiedzania Kandy, Elli i Sigiriji, spostrzegłam, że tuż przed hotelem, przy stacji kolejowej, znajduje się taki właśnie biały dom. Ulica była zamknięta dla samochodów, wycofywano z niej także turystów. Postanowiłam jednak pójść w tamtym kierunku, zobaczyć, co się tam dzieje. Ktoś z okna hotelu zamachał nawet do mnie, żebym się wycofała. Przekornie, ale trochę niepewnie ruszyłam jednak dalej.

W pobliżu stał tłum ludzi. Wszyscy ubrani byli na biało, głośno rozmawiali, niektórzy nawet grali w karty, inni siedzieli na torach. Gdy zbliżałam się do nich, rozmowy cichły, a głowy obracały w moją stronę. Szłam coraz wolniej i spokojniej. Nie było mowy, bym przemknęła niezauważona – choćby dlatego, że cała byłam „na odwrót”: mój strój był czarny, a skóra biała. Z tłumy wyłonił się szpakowaty Lankijczyk. Najpierw, żeby zwrócić moją uwagę, wykrzykiwał „bombs, bombs, girl died”, a następnie

HERBACIANA KOLEJ

Zbudowali ją Brytyjczycy w 1864 r. w celu transportowania herbaty. Ponad siedmiogodzinna trasa kolejowa z Kandy do Ella została okrzyknięta mianem najbardziej malowniczej na świecie. Wyróżnia ją niezwykle bogactwo krajobrazów – od wodospadów, po góry porośnięte krzewami herbaty i cynamonem.

SŁONIE Z UDAWALAWA

Jest ich w tym parku narodowym ponad 600. Podczas organizowanego safari można też zobaczyć krokodyle błotne, szakale złociste czy pawie indyjskie. Park liczy 306 km², znajduje się w nim także olbrzymi zbiornik wodny sprzyjający rozwojowi ekosystemu.

podszedł bliżej i powiedział, żebym szła za nim. Na jego rozkaz gromada ludzi rozstąpiła się, abym mogła przejść.

Najpierw moim oczom ukazała się wielka brama ze zdjęciem pięknej, ubranej w kolorowe sari, uśmiechniętej dziewczyny. Za bramą stały kilkumetrowe białe flagi, a za nimi ustawiane gęsto krzesła. Przejście wzdłuż nich prowadziło do altany, gdzie na czerwonym podwyższeniu, przypominającym wysokie łóżce, leżało w kwiatkach ciało dziewczyny. Była ubrana w białe sari, uczesana i umalowana, przyozdobiona białą biżuterią wśród śnieżno-białych kwiatów. Rozpoznałam uśmiechniętą dziewczynę ze zdjęć. Nad jej ciałem lama odprawiał modlitwę, a ze słów, które wypowiadał, zrozumiałam tylko „muslim, muslim”. Skłoniłam głowę i nie wiedząc, co robić dalej, wyszłam z domu żałoby.

O LEPSZE NOWE ŻYCIE

Inną już drogą wracałam do hotelu, po drodze pytając ludzi, kim była ta dziewczyna. Postanowiłam, że pójde do hotelu przebrać się i wrócę na pogrzeb. Nie rozumiałam, dlaczego mnie tam wpuszczono, ale uznałam, że to nie przypadek – przeciwnie, postanowiłam też wszystko opisać, upamiętnić.

Ubrana w biel wróciłam i ustawiłam się przed tłumem. Ludzie zwracali na mnie uwagę, ale nie chciałam nachalnie nikogo o nic wypytwać, nie wiedziałam również, z kim mogłabym porozmawiać, i to po angielsku. Uznałam, że Lankijczycy są na tyle otwarci, że znajdzie się ktoś, kto zaraz do mnie podejdzie, a jeśli to zrobi, to na pewno będzie mówił po angielsku.

Po chwili około trzydziestoletni chłopak podszedł do mnie i zapytał, co tu robię i czy



może mi jakoś pomóc. Przedstawiłam się, powiedziałam, że chciałabym stworzyć reportaż o zamachu na Sri Lance. Na imię miał Sasanka i to on stał się moim przewodnikiem.

Nie chciałam niczego robić na siłę ani sprawiać wrażenia intruza. Wychowana w kulturze, gdzie pogrzeb jest tragedią, gdzie leją się łzy i panuje smutek, strojem i zachowaniem chciałam okazać najwyższy szacunek. Sasanka, Lankijczyk pracujący na co dzień w Europie, był sąsiadem dziewczyny, którą żegnano. Na imię miała Szara, była recepcjonistką hotelu Tropical Inn. W Niedzielę Wielkanocną, w dniu wybuchu, była w pracy. Miała 24 lata, dwóch braci, a za miesiąc miało się odbyć jej wesele.

Gdy powróciłam do domu zabitej, jej ciała już nie było. Została zawieziona na cmentarz. W kulturze buddyjskiej najczęściej ciała się pali, jednak zdarza się, że są zakopywane. Ta decyzja należy do rodziców, a oni zdecydowali, że zostanie pochowana w ziemi. Przez ulewny deszcz, który zapowiadano, pogrzeb nastąpił kilka godzin wcześniej.

Zaczęło padać, Sasanka poprosił, żebym weszła do środka. Wręczono mi kubek z kawą i kilka ciastek. Ludzie dookoła, coraz to nowi, przychodzili i wychodzili. Na stołach w metalowych pojemnikach stało kilkanaście rodzajów curry, ryż i warzywa. Na deser roznoszono lody w żółtych, plastikowych pojemnikach. Zapytałam Sasanki, skąd biorą się ci wszyscy ludzie, czy Szara miała tak liczną rodzinę?

Otóż w tradycji buddyjskiej taka otwarta ceremonia – dla wszystkich sąsiadów i bliskich – ma na celu zdobycie zasług dla osoby zmarłej, by mogła otrzymać lepsze nowe życie. Ludzie spotykają się, rozmawiają, jedzą i piją od momentu przywiezienia ciała do domu aż do chwili pogrzebu i jeszcze kilka godzin po nim. Po siedmiu dniach tę uroczystość się powtarza – w celu podziękowania za nowe życie, jakie przybierze zmarły.

FOT. AGATA KURZAŃSKA



Śmierci dziewczyny towarzyszył oczywiście żal i emocje, ale na twarzach uczestników obserwowałam niesamowity wręcz spokój. Skoro śmierć nie jest ani końcem, ani początkiem, lecz naturalną częścią zamiany jednej formy życia w drugą, należy podejść do niej z pokorą. Mój podziw nad spokojem zgromadzonych na uroczystościach zachwiał się tylko raz – gdy spojrzałam w oczy jej matki. Nie lamentowała, nie krzyczała, robiła wszystko, by ugościć przybyłych na pogrzeb, a cały jej ból i żal widać było w oczach.

Można by mnożyć pytania, dlaczego właśnie ona, dlaczego odchodzi taka młoda dziewczyna, dlaczego żegna się z życiem ktoś, kto niedawno je rozpoczął. Lankijczycy jednak, jako buddyści, skupiali się przede wszystkim na tym, aby ją pięknie pożegnać i zrobić, co w ich mocy, by zyskała nowe, może lepsze wcielenie.

Jak by nie wyjaśniać śmierci za pomocą różnych filozofii czy religii, to odejście bliskiego człowieka jest wszędzie niewytłumaczalną stratą. Przekonałam się o tym naocznie w tamte dramatyczne dni na Sri Lance. ○



Agata Kurzańska

Z wykształcenia italianistka i dziennikarka, z pasji podróżniczka. Miłośniczka reportaży o Afryce, fotografii i kolumbijskiej kawy. Świat odkrywa przez smaki i rozmowy z ludźmi. Swoimi podróżami dzieli się na profilu @podroze.wg.agaty.kurzańskiej.



FOT. SHUTTERSTOCK

ODGRYWICY

Do niedawna sądziłam, że głównym motorem współczesnych podróży (a także źródłem podróżniczych frustracji) jest masowa chęć bycia odkrywcą. W jak wielkim byłam błędzie!

Myślałam, że na tym właśnie polega cichy dramat współczesności: wszystko jest dostępne dla wszystkich i właśnie dlatego traci na wartości. Ta zasada pasuje do najróżniejszych aspektów życia w dzisiejszym świecie. Sklepowe półki uginają się pod ciężarem niedrogich rzeczy, ale po zanieśieniu ich do domu nie czujemy długotrwałego zachwytu, tylko narastającą chęć odgracenia przestrzeni. Nie musimy już czekać na kinową premierę hitów z zagranicy ani przewijać skrzypiącej kasety, żeby posłuchać ulubionej piosenki: streamingowy róg obfitości jest dostępny przez całą dobę, wystarczy tylko podrapać za uchem smartfon albo krzyknąć na Alexę. Jako obiecująca, ale mało znana pisarka odczuwam to samo zjawisko w dziedzinie twórczości: bez

porównania łatwiej niż kiedyś jest dziś wydać książkę, za to szansa, że ktoś ją przeczyta, jest jeszcze mniejsza niż ta, że ktoś ją kupi. To wszystko sprawia, że budzi się w nas jakaś niewyjaśniona tęsknota. Mamy w zasięgu, co tylko nam się zamarzy, ale nic w tym szczególnego, bo wszyscy inni też.

Zakładałam, że podobnie jest z podróżami. Co z tego, że za kilkadziesiąt złotych możemy być w innym kraju, skoro na mapie nie ma już białych plam. Nie zostało już nic do odkrycia, wszędzie już ktoś przed nami był (i pewnie zostawił swoje śmieci). Nie ma już szans na sceny jak z „Niebiańskiej plaży” Alexa Garlanda, kultowej powieści backpackerów (bohaterowie to grupa uciekinierów od współczesnego świata, która osiedla się na bezludnej wyspie i zakłada tam społeczność

na nowych, własnych zasadach). Nawet ostatnie nieskażone cywilizacją plemię z Andamanów ma dziś status celebrytów, a zamiast od much opędza się pewnie od dronów.

Podejrzywałam, że właśnie to skazanie na ekspedycyjną porażkę jest największą bolączką wszystkich travelbrytów, bloggerów i influencerów. Nie mogą już nas niczym zaskoczyć, zaproponować niczego nowego. Aż jeden z nich uświadomił mi, że jestem w błędzie. Przedstawił nas sobie mój dobrze już wam znany kolega Adrian, krajowy ekspert ds. instagramerów. Zwerbowany przez niego gwiazdor social mediów zapytał mnie: – *Wydaje ci się, że współcześni podróżnicy wciąż biorą udział w wyścigu, kto dotrze dalej i wyprzedzi resztę? To dawno nieaktualne. Dwieście tysięcy moich followersów ma w nosie to, czy będą oryginalni. Oglądając moje zdjęcia, mają jeden cel: przywieźć sobie takie same, zrobione dokładnie w tym samym miejscu i pozycji.*

Miał rację. To nie przypadek, że w internecie co chwila natykam się na łudząco podobne do siebie kadry. Dziewczyna sfotografowana tyłem, ciągnąca za rękę podążającego za nią fotografa. Kobieta w kapeluszu na tle włoskiego miasteczka Positano, które kształtem przypomina pastelowy weselny tort. Chłopak

„podpierający” krzywą wieżę w Pizie. Taca z owocami unosząca się w malowniczym basenie typu *infinity*. Niebieski pociąg na górskim zakręcie na Sri Lance, z którego to pociągu ktoś się niebezpiecznie zwiesza. Piękność w sukience brodząca wśród lawendowych pól. Uda przypominające parówki sfotografowane na tle egzotycznej plaży. Ciągle mam wrażenie, że gdzieś już to widziałam.

Ktoś pewnie kiedyś był pierwszy i wymyślił kompozycje, które stały się dziś symbolem masowej turystyki. Dziewczyna ciągnąca za rękę swojego fotografa to motyw słynnego kilka lat temu cyklu „Follow me” autorstwa Murada Osmanna i Natalii Zacharowej. Jonathan Kubben Quiñonez zasłynął jako chłopak, który podróżuje po świecie z uroczym hasłem „Mom, I’m fine” („Mamo, u mnie w porządku”). Ale dziś podobne zdjęcia robią wszyscy. Nawet sami blogerzy kopiuja siebie nawzajem, powtarzając dokładnie te same ujęcia. Wygląda na to, że zgodnie sobie odpuściliśmy i przestaliśmy marzyć o podbojach, z góry skazanych na porażkę. Kto by miał chęć się gubić, tracić zasięg i skazywać się na niewygody? A po co? To strata cennego czasu. Wolimy iść na skróty i szybko przejść do sedna, czyli dostać się tam, gdzie można odtworzyć podpatrzone u innych efektowne zdjęcia. Nie ma już odkrywania, jest odgrywanie.

Można się śmiać i wypierać, ale pokusa jest silna. Przyznaję, sama też mam zdjęcie-klasyk z Pizy. I marzę o portrecie wśród lawendy. Najlepiej w zwiewnej sukience albo z piknikowym koszem, siedząca na kocu w krataczkę. Chcę uwiecznić te same czynności, co wszyscy. Zjeść pizzę z pieca w Neapolu. Sączyć wino w winnicy w Chianti. Opalać się na pomoście na Malediwach. Żeglować po Lazurowym Wybrzeżu. Czy to nowe zjawisko? Po namyśle stwierdzam, że chyba nie. Bo skąd niby biorą się wszystkie nasze listy podróżniczych marzeń, tzw. *bucket lists*, które trzeba odhaczyć przed śmiercią? Dlaczego od dziecka marzę właśnie o lawendzie albo czerwonych domkach na Lofotach? Bo kiedyś gdzieś je podpatrzyłam i zapragnęłam przywieźć sobie takie same zdjęcia, tylko ze mną pośrodku. Nowa jest wyłącznie technika – już nie muszę wycinać stron z gazet i wkładać ich do pudełka. Mogę je sobie przypiąć na Pinterescie (choć i on zdążył się już zestarzeć).

R E K L A M A

Czasem zastanawiam się, jak w dorosłym życiu będzie podróżować moja trzyletnia córka. Czy tak jak ja będzie podążać za turystycznym imperatywem odgrywców? A jeśli tak, to w jakiej formie? Może przeludnienie, zmiany klimatyczne i rozwój technologii sprawia, że podróżnicze marzenia da się konsumować jeszcze łatwiej i szybciej, czyli bez ruszania się z miejsca. Zamiast znoju dojazdów, pakowania i spania w obcym łóżku wystarczy wybrać miejsce palcem na mapie, przeczytać nazwę, a następnie położyć się do odpowiedniej sensorycznej kapsuły, która integrując wizję, dźwięki, zapachy i odczucia, oszuka mózg i ciało, że naprawdę jesteś na wakacjach. Program

graficzny umieści naszą wyretuszowaną sylwetkę w dowolnej scenerii i wydrukuję odbitkę (choć tak archaiczna pamiątka nie będzie pewnie nikomu potrzebna). Cały proces potrwa pięć minut. A jeśli ktoś nadal będzie siłił się na odkrywczość, będzie mógł stworzyć sobie własną wirtualną rzeczywistość. I zaraz zaprosić do niej innych, by mogli zacząć ją odgrywać. ○

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”.

Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.



CENA 49,90 zł

142 x 204 mm, 376 stron
oprawa twarda

ISBN 978-83-8127-291-9

ZAMÓWIENIA: Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., ul. Biskupa Dominika 11
83-130 Pelplin, tel. 58 531 64 81, tel. kom. 662 014 683, fax 58 536 17 26

KOSZT WYSYŁKI: przesyłka płatna za pobraniem – 15 zł, przesyłka płatna z góry – 12 zł
✉ zakupy@bernardinum.com.pl ☎ www.bernardinum.com.pl

🌐 www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl

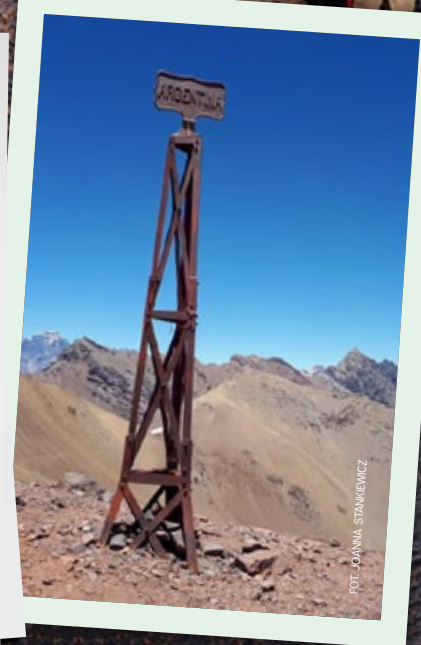
RYTUAŁY BYCIA RAZEM

Joanna Stankiewicz

W Argentynie yerbą możesz zostać poczęstowany wszędzie – na szlaku, na przystanku lub w autobusie, a zwyczajów jej dotyczących jest tak wiele, że nie sposób je wszystkie tu spisać. Zdaje się jednak, że najważniejsze jest zaufanie i chęć współdzielenia. Picie yerby jawi mi się jako symbol Argentyny – nie tylko dlatego, że wszyscy piją ją wszędzie. Ten zwyczaj potwierdza moje przekonanie, że Argentyńczycy są bardzo otwartym i przyjaznym narodem.

Yerbę pije się z mate – my nazwalibyśmy to tykwą. Może ona być z dyni, ceramiczna lub plastikowa. Za tykwę może służyć zwykły kubek. Wsypujemy do niego yerbę, czyli wysuszone, zmielone liście oraz patyczki ostrokrzewu paragwajskiego, przykrywamy dłonią i potrząsamy, żeby zawartość dobrze się wymieszała. Potem wkładamy bombillę – metalową lub plastikową słomkę i zalewamy yerbę wodą. Nie może być wrząca, bo yerba straci smak i właściwości, poza tym

niemożliwe będzie wypicie jej przez nagrzewającą się bombillę. Powinna mieć temperaturę pomiędzy 70 a 80°C. W Argentynie po raz pierwszy widziałam elektryczne czajniki z miernikiem temperatury – popyt rodzi podaż. Zazwyczaj jednak słyszałam radę, żeby wodę wyłączać tuż przed wrzeniem. Wielu spotkanych przeze mnie Argentyńczyków piło yerbę słodzoną: bombillą robili otwór, w który wsypywali cukier przed zalaniem yerby wodą. Do yerby można też dodać miód, wrzucić imbir, skórkę pomarańczy czy





FOT. JOANNA STANIEWICZ



FOT. JOANNA STANIEWICZ



FOT. SHUTTERSTOCK

co sobie ktokolwiek zażyczy. Są też gotowe, smakowe rodzaje yerby.

Najciekawszy jednak jest rytuał picia. Gdy jesteś w gronie kilku osób, jedna opiekuje się termosem, nalewa wodę do tykwy i po kolei podaje osobom, które wyraziły chęć napić się. Każdy pije, aż w tykwie skończy się woda, i oddaje ją z powrotem tej samej osobie. Nie mówi się przy tym „dziękuję”, chyba że chcesz zakończyć picie. Tykwa po kolei trafia do wszystkich wokół i krąży aż do momentu, gdy skończy się woda w termosie.

Z MERIENDY NA ASADO

W tym kraju przypadkowo poznani ludzie zapraszają do domu na kawę. W Ushuaia ugościła mnie na meriendzie, czyli podwieczorku, mama poznanego chwilę wcześniej na szlaku Facundo. Poczęstowała nas kawą, herbatą i świeżo upieczonym ciastem marchewkowym, a przy tym opowiedziała mnóstwo anegdot o autostopowiczach z całego świata, którzy przez zbieg okoliczności trafili do jej domu.

Na spacerze w Potrerillos, małym miasteczku położonym nad pięknym jeziorem

ZIEMIA OGNISTA

Najdalej wysunięte na południe miejsce w Argentynie, odgródzone od lądu wodą. Kiedyś chroniła ona przed wygnanymi na wyspę skazańcami, teraz – przed pustoszącymi krajobrazy bobrami. Gryzonie, przywiezione tutaj w latach 40., stanowią prawdziwą plagę.

w prowincji Mendoza, poznałam Fernando. Podróżuje od 16. roku życia. Pracuje jako przewodnik górski, nauczyciel wspinaczki i tragarz w czasie wypraw na znajdującą się w pobliżu Aconcaguę. To na niej często aklimatyzują się ci, którzy wybierają się wspinać w Himalaje. Fernando zaprowadził mnie do Mariano i Marcosa – właścicieli wypożyczalni kajaków, którzy zaproponowali mi wycieczkę nimi po jeziorze Potrerillos z widokiem na góry Cordón del Plata. W drodze powrotnej do miasteczka Mariano i Marcos zaprosili nas na kolację. Gdy ta się przedłużyła i zesłała *zonda* – gorący wiatr z Andów przynoszący ochłodzenie, ale najpierw zatykający wszystkie pory piaskiem, nawiewanym z gór – zaoferowali schronienie.

W El Bolsón, znanym jako stolica hipisów małym miasteczku w patagońskich Andach, poznałam na szlaku parę z Córdoby. Spędziliśmy razem kilka godzin, ja dzieliłam

się zapasami jedzenia, oni częstowali mnie mate i udzielali mi wskazówek dotyczących mojej dalszej trasy. To dzięki nim pojechałam do Mendoza i trafiłam do Confluencia – pierwszego przystanku w drodze na Aconcaguę. Tego samego dnia w schronisku na szlaku poznałam też czterech mężczyzn z Buenos Aires, a wśród nich Daniela. To typowy *porteño* (mieszkaniec Buenos Aires), który wiele czasu spędził w Nowym Jorku, a do Argentyny wrócił kilka lat temu. Z wykształcenia jest neurobiologiem, w USA zrobił doktorat, ale rzucił wszystko dla klubu z tangiem i salsa – przez kilka lat prowadził popularne milongi (imprezy, na których tańczy się tango) na Manhattanie. Tego dnia zaprosili mnie na *asado* – grillowane mięso, przysmak Argentyny.

Kilka dni później spotkaliśmy się w pobliskim Bariloche. Daniel zaproponował wycieczkę samochodem nad jedno z jezior na Szlaku Siedmiu Jezior. Po drodze zajechaliśmy



FOT. SHUTTERSTOCK

do Mercado de la Estepa – sklepu, w którym są sprzedawane wyroby członków rodzin z kilku lokalnych *comunidades* (społeczności) – każda czapka, rękawiczki czy poncho mają na metce imię osoby, która je wykonała. Sklep jest częścią projektu, który ma na celu wsparcie ekonomiczne dla zrzeszonych w inicjatywie, rozwój rzemiosła tradycyjnego i przybliżenie nabywcy bogatej historii i kultury rdzennych mieszkańców regionu. Ceny nie są wysokie, a kupując produkty z tego miejsca, wspieramy twórczynię i twórców, więc kto będzie w okolicy Bariloche lub Villa La Angostura, niech zajrzy po drodze do tego niezwykłego miejsca.

TANGO MILONGA

Daniel mieszka w centrum Palermo – jednej z bardziej popularnych dzielnic Buenos Aires. Z powodu swoich zainteresowań i nowojorskich doświadczeń z milongą był doskonałym

przewodnikiem po tangowych miejscach stolicy Argentyny. Pierwszego wieczoru odwiedziliśmy La Catedral – działający od kilkunastu lat klub, który założyło kilkoro artystów. Da się to zauważyć w wystroju sali: na ścianach wiszą obrazy, a nad barem ogromne serce z papier *mâché*. Tutaj można uczestniczyć w lekcji tanga, a potem próbować swoich sił na parkiecie – jest to jedno z niewielu miejsc, gdzie dopuszcza się, by w milondze brali udział również początkujący.

Potem pojechalismy na chwilę do Zona Tango popatrzeć na tych, którzy tango tańczą od co najmniej kilku lat. Aby dostać się do lokalu, trzeba znać adres. Na zewnątrz nie ma szyldu, ale wystarczy wcisnąć odpowiedni guzik na domofonie i trafia się do wielkiego mieszkania przekształconego w salon do tańca. Drinki i coś do przekąszenia można kupić w kuchni, a rozmawiać, odpoczywać i palić – na tarasie.

DOS AMIGOS

Para z Córdoba, którą autorka spotkała na szlaku w El Bolsón. W połowie drogi przyszedł czas na przerwę. Oni przyrządzili yerba mate, a ona jak prawdziwa poznaniarka zaoferowała „słodkie”.



TANGO ARGENTINO

Choć tango kojarzy się z kulturą macho, od jakiegoś czasu zamazuje się ścisły podział na prowadzącego i podążającą w tańcu. Zamiany ról się ceni. Na milongach tańczą mężczyźni z mężczyznami i kobiety z kobietami. Panie coraz częściej prowadzą, a panowie coraz śmielej podążają.



W wigilię wybraliśmy się na milongę do hostelu Luna Llena, prowadzonego przez osiadłą w Argentynie Niemkę, Ricardę. Można tam nocować i tańczyć tango – na dole jest piękna sala wykorzystywana na milongi. Lepiej jednak mieć już za sobą kilka miesięcy lub lat nauki, zanim wstąpi się na ten parkiet.

Poznana w parku Brazylijka przyjechała do Argentyny kilka lat temu, by pracować jako pomoc domowa. Samotna i nieszczęśliwa, postanowiła zacząć uczyć się tanga. W ten sposób poznała swoją najlepszą przyjaciółkę – to jej nauczycielka. Przychodzi do Barrancas popatrzeć na tych, którzy tańczą – sama nie ma jeszcze odwagi – i porozmawiać z ludźmi, których tam można spotkać.

Tango to nie tylko taniec, to również cały rytuał, spotkania, rozmowy, bliskość. Wiele osób przychodzi na milongi również po to, żeby po prostu побыć z ludźmi. Na milondze obowiązują zasady, które chronią przed nieprzyjemnymi sytuacjami.

W trakcie tzw. cortiny, czyli momentu, w którym możemy odpocząć po przetańczonej z partnerem tandze (3–4 utwory, które tańczy się w jednej parze) obowiązuje *cabaceo* – poszukiwanie wzrokiem partnera lub partnerki.



W tangu partner nigdy nie podchodzi do partnerki z zapytaniem o taniec, wszystko odbywa się za pomocą spojrzeń i dyskretnych skinieć głową. Jeśli partnerka omija wzrokiem tancerza, oznacza to, że dziś z nią raczej nie zatańczy. Tym samym odmowy nigdy nie otrzymuje się wprost i nigdy wprost nie trzeba jej wyrażać – chronione są zatem obie strony. Ułatwia to również przebywanie na milongach i obserwowanie tańczących tym, którzy tańczyć nie umieją lub nie mają odwagi – wystarczy omijać wzrokiem twarz tancerzy.



CELEBRACJA KOLACJI

Na pierwszą milongę trafiłam do Ushuaia. To najdalej wysunięte na południe miasto zdaje się również najbardziej gościnnym miejscem Argentyny. To tam można skosztować najlepszych *facturas* z kajmaku (*dulce de leche*). *Facturas* to słodkie wypieki, najczęściej z ciasta półfrancuskiego, z różnymi dodatkami, w tym wypadku z najbardziej pożądaną przez wszystkich masą krówkową, które je się na śniadanie albo w porze meriendy. Najważniejszym posiłkiem dnia jest jednak kolacja, którą spożywa

się bardzo późno – pomiędzy 21 a północą, najczęściej jednak ok. 22–23.

Kolację się celebkuje, to nie zwykły posiłek, ale okazja do spotkań i rozmów. Często zaprasza się na *asado*, przed którym serwuje się *empanadas* – zapiekane pierożki nadziane mięsem, warzywami lub serem. Poznany w Puerto Madryn Antonio, fagocista z Wenezeli, opowiadał mi, jak to Argentyniec w podziękowaniu za koncert, który zagrał na otwarcie jednego z kościołów, zaprosili go na kolację. Były *empanadas*, a potem różne

SZLAK SIĘMIU JEZIOR

Warto zajrzeć nad każde z nich. Mówi się, że to jedna z piękniejszych tras rowerowych w tej części Patagonii.

rodzaje mięsa z grilla: kaszanka, kiełbaski i tym podobne. Gdy już najedzony z zadowoleniem odchylił się na krześle, ze zdumieniem zauważył, że właśnie wniesiono główne danie – grillowaną wołowinę, przysmak, z którego słynie Argentyna.

Miałam okazję uczestniczyć w niezliczonych kolacjach. Każdy wieczór spędzony w gronie Argentyńczyków zdaje się kończyć obfitym posiłkiem i ciekawymi rozmowami. W San Martín de los Andes trafiłam do Chrisa i Pau. To para, która poznała się przez couch-surfing w domu, w którym miałam okazję spędzić kilka dni. W kolacji pierwszego dnia mojego pobytu w tym miejscu wzięli udział również znajomi Christiana i mama Pau. Opowiedziała, jak siedząc przy tym stole rok temu, podjęła decyzję, że po powrocie do swojego miasteczka w prowincji Buenos Aires

przechodzi na emeryturę i zaczyna nowe życie. Nie wiedziała jeszcze wtedy, że los podjął decyzję i wyswata ją z ojcem przyjaciółki Pau, który akurat siedział przy tym samym stole.

W San Martín de los Andes podczas kolacji poznałam też Injagaję – Brazylijczyka, który pomieszkuję tam z żoną i roczną córeczką i zarabia na życie, sprzedając biżuterię. Urodził się w Salvador de Bahia, ale od dziecka razem z rodzicami podróżował. Nazywa siebie obywatelem świata i dla swojej córeczki chce życia bez granic – tych dosłownych i tych w przenośni.

Ludzi, którzy próbują wieść życie poza systemem, jest więcej. W El Bolsón, stolicy chmielu argentyńskiego, poznałam Adriana, blisko 40-letniego byłego szefa kuchni, który postanowił zająć się produkcją piwa, a przy okazji – jak sam określił – wypisać się z systemu. Adrian wybudował sobie dom z drewna

WINNA MENDOZA

Stąd pochodzi słynny argentyński malbec. Można go spróbować w podmiejskich winnicach. Przewodniki polecają wybrać się tam rowerem, ale potrzebna mocna głowa lub silna wola, żeby po degustacji wrócić do miasta.



i gliny, na małej działce postawił szklarnię, w której hoduje warzywa i owoce. W domu trzyma kurczaczki, które w przyszłości będą dawały mu jajka, i dogląda owcy, którą trzyma na spółkę z sąsiadami po to, żeby „kosiła” im trawę. Wychodowane przez siebie warzywa wymienia czasem na inne produkty, a piwo sprzedaje głównie wśród znajomych.

W Uspallata, wiosce położonej w prowincji Mendoza na wysokości 2000 m n.p.m., podczas przygotowywania kolacji na kempingu poznałam parę Argentyńczyków. Edith i jej mąż przeszli niedawno na emeryturę. Oboje pracowali jako technicy w laboratorium szpitala w Pinamar w prowincji Buenos Aires, a odkąd nie pracują na etat, zajęli się teatrem – wraz z grupą innych emerytów tworzą przedstawienia dla dzieci. Wkrótce zamierzają wyruszyć w podróż po Ameryce

Południowej i zarabiać na życie, grając spektakle dla spotykanych po drodze dzieciaków. Podczas rozmowy wspomniałam, że kolejnego dnia wybieram się stopem w stronę Parku Regionalnego Aconcagua, więc zaoferowali, że mnie tam podrzucają.

Opowiedzieli mi o ludziach, których poznali, podróżując. Niezwykle otwarci, nawet jak na Argentyńczyków, gościli już przypadkowo poznane osoby, m.in. parę motocyklistów z Brazylii, których spotkali na stacji benzynowej i zaprosili na kolację do swojego domu w Pinamar. Podczas kolacji pomiędzy parą wywiązała się kłótnia, która jednak okazała się oczyszczająca. Edith w czasie podróży w stronę Aconcagua dostała SMS-a od Brazylijki z podziękowaniami za niezapomniany wieczór i zapewnieniem, że ich związek jest jeszcze silniejszy, niż był, zanim trafili do ich domu.

TO NIE JEST KRAJ DLA WEGETARIAN

Choć Argentyna to jeden z największych producentów soi, na próżno szukać wegańskich przysmaków w sklepach. Narodowe danie Argentyńczyków to *asado*, czyli grillowane mięso.



Pod koniec podróży w jednej z cukierni w Mendozie, gdzie kupowałam *facturas* z *dulce de leche*, ucięłam sobie pogawędkę ze sprzedawczynią. Z początku dziwiła się, po co Europejka przyjeżdża do Argentyny, ale potem sama doszła do wniosku, że Argentyna to wyjątkowy kraj, a Argentyńczycy to wyjątkowy naród. – *U nas po pracy nie idzie się do domu oglądać telewizję i spać* – powiedziała. – *U nas po pracy idzie się na imprezę, na kolację, potańczyć, porozmawiać. Lubimy być razem!* – skwitowała. ○



Joanna Stankiewicz

Absolwentka kulturoznawstwa, uczennica Polskiej Szkoły Reportażu. Lubi chodzić, głównie z plecakiem i namiotem. Zesła już trochę Polski, Hiszpanii, Portugalii, Argentyny i Nepalu. W planach ma kolejne trasy.



NAVIGATOR

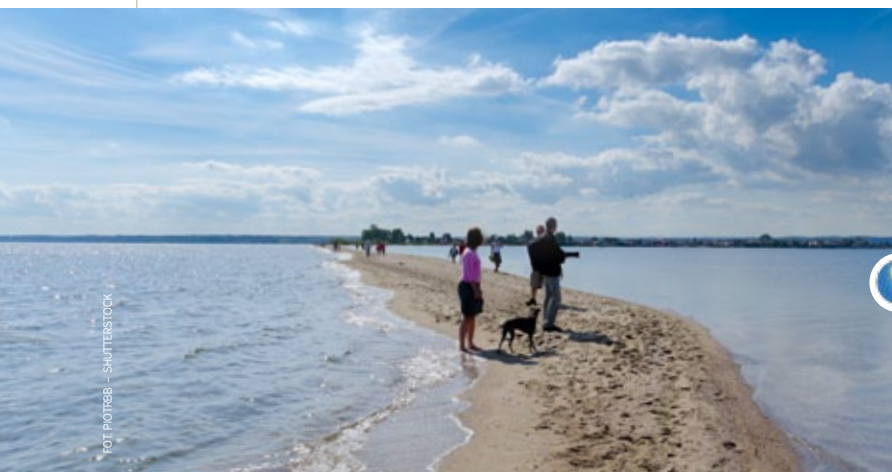
Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Marsz Śledzia

Wypoczynek nad polskim morzem dla wielu wiąże się głównie z plażowaniem, jednak Bałtyk może zaoferować o wiele więcej. Jedną z niesamowitych atrakcji wybrzeża jest zlokalizowana w Zatoce Puckiej. Ciągnie się ona około 10 km i wydłuża Cypel Rewski aż po Kuźnice.

Rybitwia Mielizna, czy też Mewia Rewa, to pas płycizn – głębokość wody w tym miejscu nie jest większa niż metr, a w niektórych momentach nawet wyłania się suchy ląd. Wyjątkiem są dwa odcinki, które zostały sztucznie przekopane w celach żeglarskich, a ich łączna długość nie przekracza jednego kilometra. Od 2002 r. każdego sierpnia znajduje się grupa śmiałków, która decyduje się wziąć udział w Marszu Śledzia. Pokonują oni trasę z Kuźnicy do Rewy pieszo przez mieliznę. Od 2013 r. w wędrownie regularnie uczestniczy maksymalna liczba osób, czyli sto. Po drodze mają okazję podziwiać liczne mewy oraz wraki statków, których w tamtych rejonach nie brakuje. Na zakończenie niecodziennego spaceru najwytrwalsi uczestnicy marszu dostają dyplomy i odznaki. W tym roku Marsz Śledzia odbędzie się 17 sierpnia.



54°38'N 18°31'E

Rybitwia Mielizna początek ma w Rewie, nieopodal Gdyni. Szlak kończy się na Półwyspie Helskim w okolicach Kuźnicy.

Białoruś Stare Wasiliszk

DOM NIEMENA

M mało która białoruska wioska cieszy się taką popularnością jak Stare Wasiliszk. Szczególnie często jest w niej odwiedzany niewielki domek na skraju miejscowości. Został on wybudowany przez Jakuba Wydrzyckiego – dziadka Czesława Niemena. To właśnie tam w 1939 r. urodził się kompozytor, wokalista i multiinstrumentalista. Artysta spędził w tym miejscu 19 lat życia, co zainspirowało ludzi do stworzenia muzeum w jego rodzinnym domu. Istnieje ono od 2011 r. i jest mekką każdego miłośnika twórczości Niemena. Z założenia w budynku miały się znajdować przedmioty związane z jego życiem na Grodzieńszczyźnie, jednak niewiele z tego okresu się zachowało, mieszkanie zostało więc udekorowane w sposób typowy dla lat czterdziestych i pięćdziesiątych. W domu można też znaleźć listy, plakaty i płyty nawiązujące do późniejszej działalności piosenkarza. Dzięki organizowanym tam koncertom i spotkaniom promującym kulturę narodową Wydrzyckich można poczuć nie tylko ducha Czesława Niemena, ale i polskości.



53°46'N 24°50'E

Muzeum Czesława Niemena znajduje się w Starych Wasiliszkach, ok. 35 km na zachód od Lidy na Białorusi.



NAVIGATOR – 9 najpiękniejszych nadmorskich miast Europy

Urokliwe, pięknie położone, z bogatą historią. Sprawdźcie, które nadmorskie europejskie miasta zasługują na szczególną uwagę.

Chorwacja Dubrownik



Włochy Amalfi

To jedno z wielu uroczych miasteczek w zatoce Salerno. Wąskie uliczki, żółte i różowe fasady oraz widoki zapierające dech to jego główne atuty. Pierwsze wzmianki o Amalfi pochodzą już z VI w., a jego rozkwit przypada na IX–XI w., dzięki położeniu na przecięciu szlaków handlowych. Największą atrakcją miasteczka jest katedra św. Andrzeja z IX w. Świątynia zachwyca zarówno architekturą, jak i barokowym wystrojem wnętrza. W środku znajdziemy m.in. przepiękne malowidła na suficie oraz dwa posągi Berniniego.

 40°38'N 14°36'E

Amalfi to miejscowość w regionie Kampania, w prowincji Salerno.

Ten niewielki port położony pośród skał i śródziemnomorskiej roślinności jest wymarzonym celem podróży turystów. Należy do najpiękniej ufortyfikowanych i najładniejszych miast średniowiecznych. Jego zwiedzanie warto rozpocząć od otaczających całą starówkę murów obronnych, które chroniły miasto przez stulecia i należą do najsolidniej wykonanych fortyfikacji w Europie. To one stanowią niezaprzeczalnie największą atrakcję turystyczną.



 42°39'N 18°06'E

Dubrownik leży w południowej Dalmacji, nad Morzem Adriatyckim.

Portugalia Lizbona

Portugalczycy uważają, że Lizbona to najpiękniejsza kobieta świata. Stolica Portugalii różni się od innych europejskich miast. Leży na krańcu Europy, tuż obok Atlantyku, nad malowniczą zatoką w ujściu rzeki Tag. Lizbonę najlepiej poznać się bez pośpiechu. Nie jest to trudne, bo w porównaniu z innymi europejskimi stolicami można zaliczyć miasto do kameralnych. By zobaczyć najważniejsze zabytki i wartościowe miejsca, nie potrzeba tygodnia.



Grecja Chania

Dawna stolica Krety to jedno z ciekawszych miejsc na wyspie. Malowniczo usytuowane miasto urzeka płataniną wąskich uliczek i oblepionych ukwieconymi balkonami kamienic. Najchętniej odwiedzanym miejscem jest zbudowany w XIV w. port wenecki. Warto zatrzymać się w jednej z licznych knajpek serwujących pyszne kreteńskie dania z dopiero co wyłowionych z morza smakołyków.

 35°31'N 24°01'E

Chania leży na północno-zachodnim wybrzeżu Krety.



 38°43'N 09°08'W

Lizbona jest stolicą i największym miastem Portugalii. Leży w zachodniej części Półwyspu Iberyjskiego.



Wielka Brytania Edynburg

Stolica Szkocji oferuje szarozielony pejzaż tonących w deszczu brukowanych uliczek i kamiennych domów. Z wierzchołka wygasłego wulkanu Arthur's Seat rozciąga się widok na uporządkowaną sieć ulic Nowego Miasta, zielone łąki parków oraz obrębiony piaszczystą plażą brzeg zatoki Firth of Forth. Natomiast Królewska Miła, główna ulica Starego

Miasta, wygląda niczym kanion: jest wąska i otoczona wysokimi na pięć pięter zabytkowymi kamienicami.



55°57'N 03°11'W

Edynburg leży pośrodku regionu Lothian, rozciągającego się na południowym brzegu Firth of Forth.

Szwecja Sztokholm

Stolica Szwecji leży nad odnogami morskich zatok i przesmyków. Zbudowane na 14 wyspach miasto przyciąga zarówno wielbicieli jego 750-letniej historii, jak i amatorów nocnych rozrywek. Urokliwa starówka Gamla stan słynie z wąskich uliczek, a Muzeum Vasa – z imponującego okrętu wojennego. Każdy, komu są bliskie kryminały Stiega Larssona, odnajdzie wiele znajomych zakątków, które zainspirowały autora.



59°20'N 18°04'E

Miasto położone w środkowej części kraju na 14 wyspach, które są połączone ze sobą 53 mostami, oraz na lądzie stałym nad zatoką Saltsjön i jeziorem Melar.

Polska Gdańsk

Miasto może poszczycić się ponad tysiącletnią historią. Turyści najczęściej odwiedzają tereny Głównego i Starego Miasta. Do traktów należą m.in. Droga Królewska, czyli ulica Długa i Długi Targ, oraz Mariacka i Długie Pobrzeże. Są to główne ulice spacerowe i największe skupisko obiektów zabytkowych i muzeów. Koniecznie trzeba także zobaczyć Westerplatte, jako miejsce pamięci narodowej, oraz unikatową Twierdzę Wisłoujście.



54°21'N 18°39'E

Miasto znajduje się nad Morzem Bałtyckim, u ujścia Motławy do Wisły, nad Zatoką Gdańską.

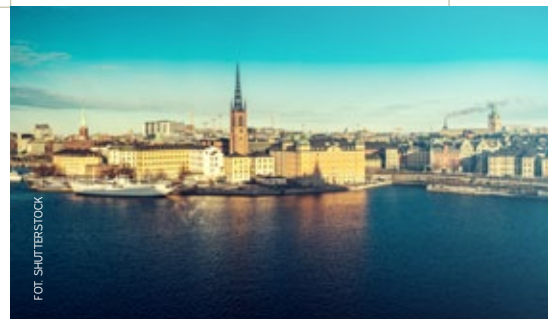
Łotwa Ryga

Ryga jest niewielka, co jednak nie umniejsza jej uroku. Dość wspomnieć o kompleksach średniowiecznych kamienic kupieckich, Domu Bractwa Czarnogłowych czy gotyckich kościołach z wieżami sięgającymi nieba. Stolica Łotwy słynie również z secesji. Budowle o płynnych liniach, finezyjnie dekorowane motywami baśniowymi, mitologicznymi i abstrakcyjnymi są określane mianem pereł architektury ryskiej.



56°57'N 24°07'E

Ryga – stolica i największe miasto Łotwy, położone nad rzeką Dźwiną w pobliżu jej ujścia do Bałtyku w Zatoce Ryskiej.



Hiszpania Kadyks

To najstarsze miasto Europy Zachodniej. Został założony przez Fenicjan około 1100 r. p.n.e. Z dawnych czasów nie pozostały żadne zabudowania, bo w 1596 r. oddziały angielskie zniszczyły miasto. Na uwagę zasługuje najbardziej zadbane w całej Hiszpanii zabytkowe centrum z XVIII w. Kręte uliczki, białe fasady i mała liczba turystów sprawiają, że można się rozkoszować zwiedzaniem. Najbardziej charakterystycznym zabytkiem jest olbrzymia, barokowa Catedral Nueva z XVIII w., którą poddano niedawno bardzo kosztownej renowacji.



36°31'N 06°17'W

Kadyks – miasto w południowo-zachodniej Hiszpanii, w regionie Andaluzja. Położone na półwyspie oddzielającym odnogę Zatoki Kadyksu od Oceanu Atlantycznego.

W PAPRYKOWYM ZAGŁĘBIU

Piotr Geise

W okolicach Radomia przepływa niepozorna Radomka, którą do XIX w. miejscowa ludność nazywała Radomierzą.

Ten lewobrzeżny dopływ Wisły ma długość 116 km, a wokół niej i jej dorzecza jest wiele miejsc, które nie goszczą na co dzień w naszej świadomości. Rzeka, nim wpłynie w okolicach Ryczywołu do Wisły, przepływa przez Równinę Radomską, mija gminy Przysucha, Wieniawa, Przytyk i Jedlińsk, a jej dorzecze obejmuje również Orońsko, gdzie działa Centrum Rzeźby Polskiej.





Wymienione miejsca zasługują na „odkrycie”. Miłośnicy fauny i flory dostrzegą wzdłuż biegu rzeki np. czajkę, bocią na białego, czapłę, płaskonosa, jak też wydry i kuny. To teren równinny, który miejscami ma formę łąk i lasów, a to sprawia, że jest wymarzone miejsce do aktywnej turystyki. Można przemierzać okolice pieszo lub na rowerze przez np. znajdującą się w gminie Przysucha puszcę u źródeł Radomki (pow. 73,48 ha), gdzie rosną ponad stuletnie dęby, buki i jodły.

WSZYSTKO DLA OSKARA

Przysucha to miejsce urodzenia etnografa i folklorysty Oskara Kolberga. Jego pamięć jest kultywowana w muzeum (po prawej), gdzie zgromadzono liczne dokumenty. Na początku czerwca odbyła się 60. edycja Dni Kolbergowskich. Przysucha tętni wtedy muzyką, tańcami, ale też kusi lokalnymi przysmakami i przetworami.

FERDYDURKE I RAK W KAPELUSZU

Radomka ma źródła na krańcach Przysuchy, w której od XVII w. wydobywano rudy żelaza, co sprawiło, że przyjechali niemieccy oraz żydowscy osadnicy i doprowadzili do rozkwitu miasta. Powstały tartaki, walcownie oraz papiernia. Łącznikiem historii i współczesności jest istniejące od 1990 r. Muzeum im. Oskara Kolberga, które ma siedzibę w dawnym dworze pochodzącym z XIX w.,

należącym do ówczesnych właścicieli Przysuchy. Od ponad 50 lat odbywają się tam na początku czerwca Dni Kolbergowskie, bo Przysucha jest rodzinnym miastem tego uznanego folklorysty i kompozytora. W 2019 r. na początku czerwca odbyła się 60. edycja Dni Kolbergowskich, podczas której umiejętności zaprezentowali śpiewacy i zespoły ludowe w otoczeniu stoisk z lokalnymi produktami. Na co dzień muzeum zaprasza na wystawy czasowe oraz ekspozycje stałe poświęcone Kolbergowi i regionowi.

Kolejnym miejscem wartym odwiedzenia jest Wieniawa, gdzie znajduje się kościół z początku XVI w. z kaplicą, w której można zobaczyć ołtarz wykonany przez ucznia z pracowni Wita Stwosza. Przedstawia on legendę śmierci św. Stanisława ze Szczepanowa. Od 2007 r. w Wieniawie odbywa się (w 3. niedzielę lipca) Przegląd Kapel Ludowych im. Stanisława Stępnika, upamiętniający lokalnego muzyka ludowego.

Warte wspomnienia są dwie miejscowości przy dopływach Radomki – Wsoła oraz Jedlińsk. W tej pierwszej znajduje się



FOT. PIOTR GEISE



wybudowany w 1914 r. pałacyk, którego właścicielem był Jerzy Gombrowicz, a u niego częstym gościem – brat Witold. To właśnie w tym pałacyku powstała część „Ferdydurke”. Obecnie budynek pełni funkcję oddziału Muzeum Literatury w Warszawie. Odbывают się w nim cykliczne (połowa czerwca) imprezy Apetyt na Gombrowicza, w ramach których mają miejsce spektakle, dyskusje oraz wystawy – nie może też się obyć bez pojedynku na miny.

Z kolei w Jedlińsku na głównym placu znajduje się pomnik... raka w kapeluszu. Nawiązuje do XIX w., kiedy to raki z okolicznych stawów nie tylko gościły na miejscowych stołach, ale ze względu na smak były pożądane na warszawskich salonach. Dziś to już historia. Jednak Jedlińsk słynie z nietypowego obrzędu związanego z końcem karnawału, który nazywa się ścięcie śmierci (lub jedlińskie kusaki), a jego tradycja sięga XVIII w. To ludowy obrzęd, jedyny tego typu w naszym kraju. We wtorek przed Środą Popielcową Jedlińsk staje się areną dla orszaku przebranych postaci, m.in. diabłów i śmierci, która jest doprowadzana przed sąd. Ścięcie śmierci kończy się trwającą do północy zabawą.



WIĘCEJ C NIŻ CYTRYNA

Przytyk ma prawa miejskie od II poł. XV w. W nieistniejącej już świątyni w latach 70. XVI w. zawarł ślub Jan Kochanowski z Dorotą Podlódowską, która była córką właściciela miasta (Przytyk do połowy XIX w. był własnością rodziny Kochanowskich). Z tego też

lat 80. i rozpoczęcia uprawy pod folią na masową skalę Przytyk stał się centrum paprykowego zagłębia. Papryka przytycka w 2011 r. znalazła się na liście produktów tradycyjnych Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

Na europejskich stołach warzywo zagościło za sprawą odkryć Krzysztofa Kolumba, któ-



FOT. ANJUDENA RUTKOWSKA - WIKIPEDIA

ŻEGNAJ, ŚMIERCI

W Jedlińsku w ostatni wtorek karnawału jest kultywowany od XIX w. ludowy obrzęd nazywany ścięciem śmierci. Staje ona przed sądem i wydany na nią wyrok jest symbolicznym pożegnaniem tego okresu roku.

powodu w Przytyku jest organizowana od 5 lat na początku maja impreza Kochanowski Przystanek Wesele, z korowodem i festynem weselnym, którym towarzyszy przegląd kapel i zespołów ludowych.

W Przytyku od XVII w. zamieszkiwała społeczność żydowska, która na początku XX w. stanowiła ponad 80 proc. ogółu mieszkańców miasta. Do dziś na cmentarzu żydowskim zachowało się jeszcze kilka płyt nagrobnych.

Od 30 lat miasto jest znane z innego rozdziału historii, bowiem za sprawą sprowadzenia papryki z Niemiec w te okolice w połowie

ry sprowadził je z Ameryki. Jednak do europejskiej szlachty papryka trafiła dopiero w XVIII/XIX w., a z biegiem lat stała się popularna wśród niższych warstw społecznych.

Jedna z odmian papryki z grupy ostrych chili wzięła nazwę od stanu Tabasco w Meksyku. Ta odmiana stała się podstawą produkowanego od połowy XIX w. sosu tabasco. W Azji Południowo-Wschodniej jest popularna ostra pasta sambal, przyrządzana na bazie chili, która w Turcji, jak też w sklepach w Niemczech prowadzonych przez Turków, jest znana pod nazwą sambal oelek. Nazwa pochodzi od

kamiennego moździerza, w którym rozdrabnia się chili. Ta ostra papryka doczekała się kilku regionach festynów, np. w Diamante (Kalabria) odbywa się coroczny Peperoncino Festival, a w Hatch (Nowy Meksyk) po okresie zbiorów – Chilli Festival; z kolei we Francji, w Espelette ma miejsce Fête du Piment.

Papryka ma wiele wspólnego z pomidorem i ziemniakiem, bo wszystkie wymienione należą do tej samej rodziny botanicznej (psiankowate). Owoce papryki (jagody), zależnie od odmiany, mają różne kształty i kolory (żółte, pomarańczowe, czerwone, jasno- i ciemnozielone oraz fioletowe). Ostra papryka jest



U nas „zespół dnia następnego” łagodzi zupa ogórkowa, a w Meksyku na poimprezowy ból głowy zaleca się zupełną zawierającą dużą ilość chili. Z kolei w Etiopii za obelgę uchodzi nazwanie mężczyzny, że jest osobą „bez chili”, czyli bez ikry i wigoru. Węgrzy, mimo że nie są potentatami uprawy papryki, wypromowali ją jako narodową markę. Do tego w Segedynie i w Kalocsa funkcjonują muzea papryki. Światowymi liderami uprawy są: Meksyk (2,7 mln t), Turcja (2,5 mln t) i Indonezja (2 mln t).

stożkowata, a łagodna – bardziej kulista. Ostrość papryki lub jej przetworów zależy od dojrzałości owocu oraz stosunku zmielonych ziaren do ilości miąższu, a wszystko za sprawą kapsaicyny.

Papryka, jedzona w obojętnie jakiej postaci, zawiera więcej witaminy C niż cytryna. Wzmacnia układ naczyniowy, pozytywnie wpływa na pracę serca, koi bóle stawów i kręgosłupa oraz poprawia procesy trawienne. Oprócz tego jest bogata w beta-karoten, witaminy E, K i z grupy B, jak też w sole mineralne (przede wszystkim potas). Krajowe zbiory

OD MAŁARSTWA DO RZEźBIARSTWA

Orońsko to wieś znana przede wszystkim z zabytkowego kompleksu pałacowego z XIX w. Należał do malarza Józefa Brandta. Obecnie znajduje się tu Centrum Rzeźby Polskiej (wraz z Muzeum Rzeźby Współczesnej).



RADOMSKI RENESANS
W Wieniawie wartym uwagi jest kościół św. Katarzyny, którego początki są datowane na XIII w. Mieszczący się tam Poliptyk Wieniawski jest uważany za jeden z najcenniejszych zabytków renesansowych w regionie radomskim.

papryki kształtują się poziomie 100 tys. t, z czego aż 80 proc. uprawia się pod osłonami w podradomskich gminach.

I NA SMALEC, I NA DŻEM

Ogólnopolskie Targi Papryki w Przytyku są organizowane od 1999 r. Obecnie impreza odbywa się w drugiej połowie sierpnia. Nabrała już rangi o znaczeniu mazowieckiej atrakcji turystycznej, bo stanowi idealną okazję do zapoznania się nie tylko z produktem regionalnym, jakim jest papryka przytycka, ale przede wszystkim jest niepowtarzalną sposobnością degustacji i zakupu oryginalnych przetworów kulinarnych wyczarowywanych na jej bazie. To jeden z najbardziej rozpoznawalnych produktów z terenu subregionu radomskiego.

Świat odbieramy za pomocą zmysłów – nie tylko czujemy, słyszymy, dotykamy tego, co nas otacza i na nas oddziałuje, ale przede

wszystkim cały czas smakujemy (dosłownie i w przenośni). Z tego powodu warto tak zaplanować sobie pobyt w dolinie Radomki, aby połączyć go z Targami Papryki w Przytyku. Stoiska są pełne wszelakiego jadła, a niektóre potrawy są niebanalne. Tak jest w przypadku smalcu z papryką – to tylko na pozór prosta potrawa, kulinarny diabeł tkwi w szczegółach. Innym przykładem kreatywności są kacze udka nadziewane farszem z papryki, świeżego szpinaku i odrobiny czosnku z dodatkiem sosu paprykowo-wiśniowego. Papryka przytycka jest wyczuwalna zarówno w farszu, jak i w sosie, który poza wiśniami ma jeszcze posmak miodu. Na targach i regionalnych dożynkach można też zapoznać się ze smakiem paprykówki z miodem lub nalewki z chili – oba napitki są wytwarzane na bazie lokalnych produktów.

Dla łasuchów miejscowe gospodynie przygotowują dżem z czerwonej papryki



z dodatkiem cytryny, goździków i kardamomu, co sprawia, że smak tego przetworu nie sugeruje zupełnie, że głównym składnikiem jest papryka.

Gminy znajdujące się w dolinie Radomki to ciekawy przykład połączenia elementów turystyki kulinarnej z kultywowaniem dziedzictwa kulturowego regionu w postaci imprez upamiętniających etnografa i folklorystę Oskara Kolberga i pisarza Witolda Gombrowicza. Restauratorzy oraz właściciele hoteli wspólnie z władzami samorządowymi powinni zadbać o powstanie szlaku kulinarnego

z prawdziwego zdarzenia, czyli z oznakowaniem i promocją dań i potraw z papryki przytyckiej. Dożynki i inne okolicznościowe imprezy nie zaspokoją obecnie oczekiwań turysty, który tego typu szlaki (sera, win, szparagów) zna z Niemiec, Austrii lub Francji.

Dolina Radomki jest warta odkrycia. To miejsce na niespieszny wypoczynek w bliskości z naturą i poznawaniem małych miasteczek. Trawestując zakończenie „Ferdynand” Witolda Gombrowicza, można stwierdzić: „Koniec i bomba, a kto nie zdecyduje się na wizytę w dolinie Radomki, ten trąba!”. ◉

KRÓLOWA MAZOWIECKA

Radomka jest nazywana królową rzek południowego Mazowsza. To lewobrzeżny dopływ Wisły, płynący niespiesznie przez 113 km.



Piotr Geise

Socjolog, dziennikarz, w latach 1993–2006 współpracował w Berlinie z publicznymi radiostacjami RBB i Deutsche Welle. W latach 2003–2013 wykładowca na uczelniach w Bydgoszczy, Wrocławiu i Poznaniu. Obecnie konsultant, doradca, trener.



OSTATNIA DZIKA RZKA cz. 1.

FOT. FILIP KUŁASZEWSKI

– Woda ucieka, jakby ktoś wyciągnął korek z rzeki – powiedział funkcjonariusz straży granicznej. Obdzwaniałem wszystkie posterunki wzdłuż Bugu, żeby dowiedzieć się, jaki jest stan rzeki, i ta informacja lekko mnie zmroziła. Kolejne posterunki mówiły podobnie: mało, płytko, ale i tak nieźle, bo w zeszłym roku o tej porze nawet kajaki nie mogły przepłynąć. Strażnicy mówili, że tak źle z rzeką zaczęło się dziać kilka lat temu, ale nie potrafili tego wytłumaczyć.

Ja już wiedziałem, co się dzieje, bo przyczyny niskiego stanu wód są podobne w całej Polsce: krótkie, ciepłe zimy, brak śniegu i intensywne opady skumulowane w krótkim czasie. Kiedyś były rozciągnięte na tygodnie, teraz jest intensywna nawałnica, ewentualnie kilka dni, i sucho. Dlatego w lipcu, zaledwie dwa tygodnie po powodziach w Polsce, Bug tak drastycznie wysychał. Była jeszcze jedna wiadomość, zła dla mnie, ale dobra dla rzeki:

– W trzech miejscach są zatory, jeden trzystumetrowy – powiedział pogranicznik. – Wie pan, to jest dzika rzeka, bobrów jest tu sporo, ścinają drzewa, te spływają z nurtem, wystarczy, że jedno się zatrzyma o coś, i następne do niego dołączają. Efekt jest taki, że powyżej Kryłowa mamy trzystumetrowy zwał drzewny. W ogóle musi pan uważać, bo nawet jeśli dzisiaj mówię, że rzeka na konkretnym odcinku jest czysta,

to nie znaczy, że jutro będzie. One powstają z dnia na dzień.

Ucieszyła mnie ta wiadomość, bo to oznacza, że Bug rzeczywiście jest jeszcze dziki. I co z tego, że daje się we znaki kajakarzom, na tym właśnie polega jego urok. Jeśli ktoś chce mieć nudny, niedzielny spływ, od tego jest np. Narew, gdzie płynie się jak po sznurku.

Wiedziałem już jednak, że od wsi Gołębie, gdzie Bug wpada z Ukrainy do Polski, nie popłynę. I w miarę jak rozmawiałem z kolejnymi posterunkami straży granicznej, spływ przesunął się w dół rzeki. W końcu w Terespolu pojawiła się nadzieja. – U nas jest wyżej niż rok temu. Od pół do metra w nurcie i powinien pan się cieszyć, bo w 2018 r. kajaki szurały po dnie – usłyszałem.

To była dobra wiadomość. Usiadłem do komputera i zacząłem wyszukiwać miejsca, gdzie moglibyśmy zbudować

tratwę. Potrzebowaliśmy łagodnego zejścia do rzeki i płycizny, na której bezpiecznie moglibyśmy spinać drewniane bale i budować na nich pokład. A na tym odcinku to nie jest takie łatwe, bo Bug pod granicą z Białorusią ma wysokie i strome brzegi.

Uratowała mnie Krzna i jej ujście do Bugu – dokładnie takie miejsce, jakiego potrzebowałem. Na początku lipca spakowałem do samochodu masę narzędzi i gratów, załadowaliśmy się do środka z projektantem i cieślą, Staśkiem Polakiem, i ruszyliśmy do wsi Neple, która leży kawałeczek na północ od Terespoła.

To, że na Google Maps wyszukałem miejsce dobre do budowy, to jedno, ale jeszcze musiał tam dojechać samochód z drewnem, które miało ważyć ponad cztery tony. Po dotarciu do Nepli od razu pojechaliśmy w wyznaczone miejsce. Z sercem na ramieniu przemierzaliśmy

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz.
Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”.
Swoje przygody relacjonuje na Facebooku
i Instagramie: Mikrowyprawy.



ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A

Jerzy Nowiński

ŚWIĘTO POKOJU TUAREGÓW

Co roku w islamskie święto Aszury dwa klany, El Mihane i Azzelouaz, tuareskiego plemienia Kel Ajjer spotykają się w piaszczystym korycie okresowej rzeki Ijriou. Tam od niepamiętnych czasów odbywa się Sebeiba. To przepiękne wydarzenie jest świadectwem saharyjskiej kultury, która we współczesnej Afryce jest coraz bardziej spychana na margines.





FOT. JERZY NOWIŃSKI

D'où viens-tu? Skąd jesteś? – Ubrany w czapkę z daszkiem reporter próbował przekrzyczeć panujący wokoło harmider.

– Z Polski. Je suis polonais. – Z początku byłem zaskoczony swoją nagłą popularnością, ale praktyka czyni mistrza i wywiad do trzeciej z rzędu stacji telewizyjnej wyszedł mi zaskakująco dobrze.

– La Pologne? Super! – ucieszył się Algierczyk. – *Ajak ci się podoba Sebeiba?*





FOT. JERZY NOWIŃSKI



FOT. JERZY NOWIŃSKI



FOT. JERZY NOWIŃSKI

BOHATEROWIE SEBEIBY

Główni aktorzy barwnej uroczystości to panie całe w hennie, fioletowych sukniach i biżuterii oraz panowie w specyficznych turbanach zwanych *takounbout*.

– *C'est très bien. Très bien!*

W tym momencie musieliśmy przerwać rozmowę, ponieważ w naszym kierunku ruszyło kilkunastu tuareckich wojowników. Uzbrojeni w długie miecze, szli w równym szyku, wzbijając w powietrze chmury pyłu. Przed wiekami taki widok musiał wzbudzać panikę, na szczęście tym razem nie miałem się czego obawiać. Atak błękitnych rycerzy pustyni był bowiem częścią odbywającego się

w Dżanat festiwalu – unikalnej ceremonii, którą w 2014 r. wpisano na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO.

KIEDY MOJĘSZ WYGRAŁ Z FARAONEM

Według lokalnych przekazów Sebeiba liczy ponad trzy tysiące lat. Właśnie wtedy na tereny należące do Kel Ajjer miała



dotrzeć wiadomość o wygranej Mojżesza nad faraonem. Dla uczczenia tego wydarzenia klany zamieszkujące okolice Dżanat postanowiły zawrzeć ze sobą rozejm, kończący długą bratobójczą wojnę. Od tamtej pory co roku w samym sercu Sahary odbywa się uroczystość, w trakcie której Tuaregowie poprzez taniec odgrywają ostatni akt konfliktu, pieczętując zawarty przed wiekami pokój.

Ten lud berberyjskich nomadów żyje na terenie Mali, Nigru, Algierii oraz Libii. W dawnych czasach zajmowali się handlem solą oraz niewolnikami. Współcześnie trudnią się przemysłem, hodowlą zwierząt lub pracą w branży turystycznej.

Dowodem na prehistoryczne pochodzenie Sebeiby mają być naskalne malowidła z płaskowyżu Tasili Wan Ahdżar, na których znajdziemy egipskie rydwany oraz sylwetki

ZANIM PRZYJDZIE WODA

Ten pustyнный plac, na którym trwa właśnie festiwal Sebeiba, to w rzeczywistości koryto saharyjskiej okresowej rzeki Ijriou.

z charakterystycznymi głowami przypominającymi maski zakładane przez mężczyzn na czas festiwalu.

Tak głoszą tuareskie podania, jednak w związku z brakiem pisanych źródeł trudno je zweryfikować. Pewne jest, że tradycja ta liczy sobie setki lat i pomimo politycznych oraz społecznych przemian przetrwała na południowo-wschodnim krańcu Algierii w formie prawie niezmienionej.

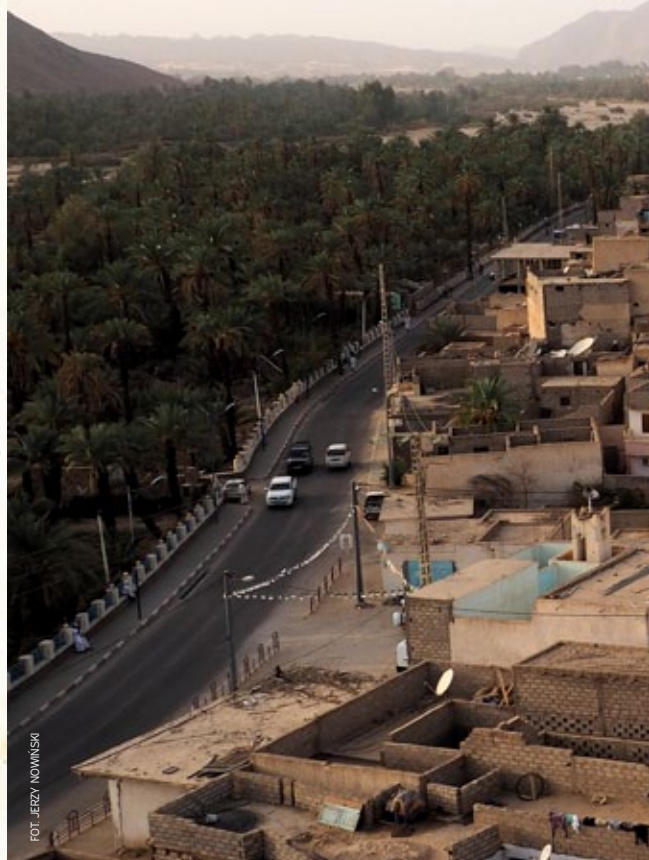
CHAOS POZORNY

Tym, co najbardziej rzuca się w oczy podczas Sebeiby, są stroje zakładane przez uczestniczących w ceremonii Tuaregów. Kobiety jeszcze przed uroczystością malują sobie stopy i ręce henną, zakładają najlepszą biżuterię i piękne fioletowe suknie. Mężczyźni w tradycyjnych biało-niebieskich szatach prezentują się jeszcze lepiej. Każdy tancerz w jednej ręce trzyma stalowy miecz, w drugiej – kolorową chustę. Najbardziej charakterystyczne są jednak zakrywające twarz wysokie, ozdobione srebrnymi trójkątami turbany zwane *takounbout*, które są przekazywane w szlacheckich rodzinach z ojca na syna.

Warto również zwrócić uwagę na tuareską karnację, która pod wpływem substancji używanej do barwienia tkanin przybiera niebieski odcień – to właśnie od niej pochodzą takie określenia, jak „błękitni rycerze pustyni”.

TURYSTYKA PO ALGIERSKU

Pochodząca z przełomu XVI i XVII w. twierdza Zelouaz w Dżanat pamięta czasy, kiedy Saharą władali rycerze pustyni. Szkoda tylko, że ten zabytek jest przeważnie zamknięty.



FOT. JERZY NOWIŃSKI



FOT. JERZY NOWIŃSKI



Reszta festiwalu to właściwie chaos. Wszędzie wokoło kłębią się Tuaregowie. Stojące przy krawędzi sceny kobiety klaszczą, śpiewając monotonną pieśń, a na środku placu poruszają się bez składu w dziwnym spowolnionym tańcu mężczyźni.

Żeby jednak w pełni docenić i zrozumieć Sebeibę, musiałem spojrzeć na nią z pewnego dystansu. Dopiero wtedy udało mi się dostrzec, że festiwal to jedno wielkie przedstawienie. Miejsca, w których stoją Tuareżki, symbolizują obozowiska każdego z klanów i są nazywane *loghya*. Natomiast tancerze

ŻYCIE BEZ PRYSZNICA

Oaza Dżanat liczy 15 tys. mieszkańców. Życie miasta bywa zaskakujące – łatwiej tu o telewizję satelitarną niż o prysznic, po który trzeba jechać do specjalnej „prysznicarni”.

**W NATARCIU**

Dziś to tylko taniec, ale proste tuareckie miecze przez lata budziły postrach wśród plemion zamieszkujących tereny graniczące z Saharą.

regularnie powtarzają pewien układ: mierzą się wzrokiem, prowokują, wreszcie formują szyk i ruszają do ataku. Nie dochodzi jednak do bezpośredniego starcia. Zamiast tego grupy z El Mihane i Azzelouaz mijają się na środku placu, po czym wpadają do obozu swoich nieprzyjaciół. Tam w ruch wchodzi ostre miecze. Na szczęście nie ma mowy o rozlewie krwi, bo Tuaregowie potrząsają nimi nad

głowami, chcąc wzbudzić podziw w stojących w *loghya* kobietach. Tuareżki nie poddają się łatwo i przez cały czas śpiewem próbują przepędzić intruzów.

Ciekawostką jest, że zwycięzca Sebeiby jest wybierany przez starszyznę obu klanów jeszcze przed rozpoczęciem tanecznego pojedynku. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić – ma to sens. W końcu chodzi tu



FOT. JERZY NOWIŃSKI

o cementowanie pokoju, a nie sprowokowanie lokalnych zamieszek.

W ceremonii uczestniczą również dzieci. Mali chłopcy z poważnymi minami odgrywają bitewne sceny, wymachując w powietrzu kartonowymi mieczami. Ich koleżanki wydają się bardziej przestraszone, ale dzielnie trwają u boku swoich starszych siostr, klaszcząc i śpiewając przez cały czas.



FOT. JERZY NOWIŃSKI

SAHARA BEZ KOMERCJI

Przyznam, że gdy jechałem na kraniec Algierii, nie byłem przygotowany na autentyczność Sebeiby. Ale od czasu Arabskiej Wiosny Ludów na Saharze praktycznie zamarł ruch turystyczny, dlatego i w Dżanat nie ma już miejsca na komercję. Na festiwal ściągają tłumy, ale są to prawie wyłącznie Tuaregowie z plemienia Kel Ajjer – pochodzący z samej oazy, ale również z pobliskiej Libii czy Nigru.

Mimo że Sebeiba jest wpisana na listę UNESCO, naliczyłem tylko z trzydziestu zagranicznych turystów, a po tym, jak udało mi się przejść przez barierki, sam stałem się „turystyczną atrakcją” – ludzie chcieli robić sobie ze mną zdjęcia, no i, jak wspomniałem, miałem okazję udzielać wywiadów.

– *Za dawnych czasów Sebeibę obchodziliśmy dla uczczenia naszych zwycięstw.* – Mój tuarecki przewodnik w zamyśleniu wpatrywał się w tańczących wojowników, po czym z nostalgią w głosie dodał: – *Dzisiaj nie prowadzimy już wojen i dawny sens ceremonii gdzieś się zagubił.*

Przed sobą miałem praktycznie całe plemię Kel Ajjer. Parę tysięcy Tuaregów, którzy co roku zjeżdżają tu ze wszystkich stron pustyni. Sebeiba jest nadal silna, może nawet silniejsza niż kiedykolwiek, ponieważ opiera się na jedności i porozumieniu. We współczesnej Algierii pozwala Tuaregom podtrzymywać ich kulturową tożsamość. ○

MEDIA TO LUBIA

Sebeibę obserwuje kilka algierskich telewizji, a nieliczni turyści z zagranicy muszą przygotować się do roli gwiazdy mediów.



Jerzy Nowiński

Uwielbia poznawać nowych ludzi, skakać z kangurami i od czasu do czasu stawiać na głowie. Autor książki o relacjach polsko-koreańskich: „Nadgodziny zagryzione kimchi”.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

FOLKLOR WCIĄŻ ŻYWY

Mknąc autostradą A2, można nie zauważyć zjazdu do Łowicza. Z perspektywy drogi teren nie wygląda zbyt interesująco. Kiedy jednak człowiek skusi się na poznanie ziemi łowickiej, odkryje zupełnie inną rzeczywistość. Niespełna 7 km dzieli pałac w Nieborowie od autostrady. To przepiękne miejsce i właśnie tam rozpocząłem poznawanie uroków regionu.

Po przekroczeniu bramy znalazłem się w innym świecie. W oddali widziałem piękną bryłę budynku. Otaczający go park sprawia, że z każdym krokiem rośnie on w oczach i staje się jeszcze piękniejszy. Kiedy zobaczy się go od południowej strony, nie można ukryć zachwytu. Został zaprojektowany przez Tylmana z Gameren, architekta niderlandzkiego pochodzenia. Po kilku zmianach właścicieli należał w latach 1774–1944 do rodziny Radziwiłłów. Dzisiaj jest oddziałem Muzeum Narodowego w Warszawie. Pałac jest atrakcją samą w sobie, ale koniecznie trzeba prze spacerować się po parku. Urzekł mnie

w nim zamysł, z jakim posadzono drzewa, krzewy i zaprojektowano tę przestrzeń. Wiele elementów z biegiem lat uległo zniszczeniu, ale mimo wszystko jest coś niezwykłego w tym parku.

Nie była to ostatnia parkowa przygoda tego dnia. Kilka kilometrów dalej znajduje się Arkadia. Słynie ona z parku romantycznego, powstałego z polecenia Heleny z Przeździeckich, żony Michała Hieronima Radziwiłła, który przed laty był właścicielem pobliskiego Nieborowa. Założenie parku miało miejsce w 1778 r. i był on pielęgnowany osobiście przez Helenę aż do śmierci w 1821 r. Dzisiaj można podziwiać pozostałości po przepięknych

budowlach, które miały stać się miejscem zadumy i odpoczynku. Świątynia Diany, akwedukt na Skierniewce czy kamienny łuk grecki należą, moim zdaniem, do najciekawszych zabytków. Jest w tej przestrzeni coś iście romantycznego i skłaniającego do głębszych refleksji. Rzeka Skierniewka tworzy w Arkadii dwa rozległe stawy. Kiedy odejdzie się w głąb parku i drzewa zasłonią całkowicie okoliczne krajobrazy, robi się niezwykle spokojnie.

Po sporej dawce świeżego powietrza i pięknych parkowo-pałacowych klimatów udałem się do pobliskiej Oberży pod Złotym Prosiakiem. Już wcześniej wpadł mi w oko baner reklamujący tę

restaurację. Intuicja mnie nie zawiodła. Piękny wystrój, pyszne jedzenie i atmosfera idealna dla krótkiej przerwy w trasie.

Nabrałem sił i ruszyłem do pobliskiego Sromowa. Umówiłem się tam wcześniej na zwiedzanie Muzeum Ludowego Rodziny Brzozowskich. Pan Wojciech, syn założyciela Juliana Brzozowskiego, opowiadał mi z niezwykłą pasją w oczach historię ziemi łowickiej i prowadzonego przez ich rodzinę muzeum. Pan Julian Brzozowski urodził się w 1925 r. W pobliskiej wiosce wiódł życie rolnika. Od najmłodszych lat uwielbiał rzeźbić. Przez 20 lat stworzył prawie 300 rzeźb, które w domu i garażu czekały, żeby ujrzeć światło dzienne. W 1972 r. pan Julian otworzył pierwszy pawilon i zaczął swoją sztuką dzielić się z innymi. W kolejnych latach muzeum rozbudowało się o trzy kolejne pawilony. Dzisiaj można podziwiać w nich około 600 ruchomych figurek. Napędza je 40 silników elektrycznych. Wszystkie mechanizmy i makiety zostały wykonane własnoręcznie przez pana Juliana, a po jego śmierci w 2002 r. przez syna Wojciecha, który przejął opiekę nad kolekcją i muzeum. Przed wizytą najlepiej umówić się wcześniej telefonicznie.

Pozostając na fali folkloru, kultury ludowej i przeszłości, wybrałem się do skansenu w Maurzycach. Po drodze zatrzymałem się przy pierwszym na świecie spawanym moście. Jest on dobrze oznakowany i tuż obok niego znajduje się przestronny parking. Dzisiaj droga nr 92 przebiega po betonowym moście, a piękny zabytek pozostawiono do podziwiania turystom. Jeśli zejdziemy niżej

nad brzeg Słudawy, w oddali dostrzeżemy zabudowania ze skansenu.

Do skansenu w Maurzycach zajrzeć warto, choć nie ukrywam, że mnie osobiście on rozczerował, ale może dlatego, że przyćmiły go wcześniejsze atrakcje. Obejrzałem wszystko, co było dostępne, i ruszyłem w dalszą drogę do Łowicza.

Zaparkowałem w rynku i udałem się do Muzeum Guzików. Znajduje się ono w witrynie sklepu w Galerii Łowickiej. Jest to prawdopodobnie najmniejsze muzeum na świecie. Swoją oficjalną siedzibę ma w niewielkiej walizce. Dział guzików personalnych zgromadził eksponaty w postaci guzików od znanych osób ze świata polityki, kultury czy sztuki. Z inicjatywy twórców muzeum 12 grudnia obchodzimy Dzień Guzika. Forma przekazu i prezentacji kolekcji przypadła mi bardzo do gustu. Jest to też pewnego rodzaju gra ze zwiedzającymi, bo muzeum znajduje

się w części witryny sklepowej w galerii handlowej. Zagląda tam więcej ludzi, niż gdyby tę kolekcję zamknął w przykurzonych salach jakiegoś muzeum.

Ruszyłem na zwiedzanie Łowicza. Najpierw udałem się nad Bzurę i do parku miejskiego. Na pierwszy rzut oka widać, że nie jest to turystyczne miasto. Ulicą Browarną dotarłem do Podrzecznej i poszedłem w kierunku katedry. Dalej udałem się na Stary Rynek i przez park Sienkiewicza wróciłem na Nowy Rynek. Jest to jedyny na świecie trójkątny plac z zachowanym średniowiecznym układem urbanistycznym. Przez to, że w Łowiczu nikt nie spodziewa się rzeszy turystów, ludzie są niezwykle naturalni. Zabytki to głównie kościoły i trzeba mieć odrobinę szczęścia, żeby zobaczyć je w środku. Mnie bardziej pociągało oglądanie łowickiej codzienności.

Ziemia łowicka zachwycała mnie swoim wyrazistym i ciągle żywym folklorem. Wszystko tam było nowym odkryciem, a takie podróże smakują najlepiej. Na każdym kroku wpadałem w mniejsze lub większe zachwyty. Nie wyczułem nigdzie zmęczenia tradycją. Ludzie żyją wśród kolorowych wstążek, bujnych wzorów wycinanek czy postaci w łowickich strojach. Tak jest od zawsze i tak już pewnie zostanie. ○

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



Kamila Kudaszewicz

CZAR PUEBLOS BLANCOS



Od kilkunastu lat cieszą się bardzo dużym zainteresowaniem turystów, którzy pragną poznać coś innego niż plaża i monumentalne zabytki Seville, Granady czy Kordoby. Wystarczy zobaczyć ranking najczęściej odwiedzanych miast na południu Hiszpanii, według którego czwarte miejsce zajmuje Ronda (na zdjęciu), chyba najbardziej znane pueblo blanco w Hiszpanii.





Ale zacznijmy od początku – czym jest typowe białe miasteczko (*pueblo blanco*)? I co sprawiło, że jest ich tak wiele w Andaluzji? I najważniejsze – dlaczego są tak uwielbiane przez każdego, kto chociaż raz znajdzie się na jego uliczkach?

Wszystko zaczęło się w VIII w., kiedy to ludy zamieszkujące północną część Afryki zaczęły podbijać Półwysep Iberyjski. Na zajętych terenach powstawały ich dzielnice, miasteczka i miasta. Maurowie zauważyli, że klimat w Andaluzji jest zbliżony do afrykańskiego – bardzo wysokie temperatury, długie letnie miesiące i ponad trzysta słonecznych dni w roku. Nie było więc lepszego rozwiązania, jak malowanie fasad domów na biały kolor, który odbija promienie i sprawia, że domy szybko się nie nagrzewają. Dodatkowo pomauretańska zabudowa jest bardzo ciasna – posesja przy posesji, tak aby w wąskich uliczkach było trochę cienia.



Ten średniowieczny wynalazek przetrwał do naszych czasów. Naśladowali go potem Żydzi sefardyjscy, mieszkający w dzisiejszej Hiszpanii do końca XV w., oraz katolicy, tworzący dziś największą grupę wyznaniową kraju.

WOLNIEJ W RONDZIE

Aktualnie największą liczbą *pueblos blancos* szczycą się dwie andaluzyjskie prowincje – Malaga i Kadyks. Wspomniana na początku Ronda jako pierwsza skradła serca turystów. Labirynty malowniczych uliczek, ceramiczne dekoracje na zewnątrz domów i w słynnych patiach sprawiają, że atmosfera takich miejsc jest nieporównywalna z niczym innym. Nie ma tu olbrzymich zabytków, pałaców czy katedr, ale nie o to chodzi w wycieczce do Rondy... Tu trzeba się powłóczyć, zgubić w wąskich uliczkach, usiąść na chwilę, napić kawy czy wina – po

prostu zwolnić, a nawet zatrzymać i chociaż przez chwilę poczuć się jak mieszkaniec tego miasteczka.

Ronda jest przedzielona na dwie części malowniczym wawozem rzeki Guadalequivir. Spacerując tu, z każdego miejsca możemy podziwiać niezwykle widoki, za które jest odpowiedzialna natura – najpierw trzęsienie ziemi, a potem procesy krasowe. Symbolem miasta jest most z XVIII w., który łączy nową Rondę z dawną dzielnicą arabską. Do jego budowy wykorzystano skały z rzeki Guadalequivir, co sprawia, że most i wawóz wyglądają, jakby tworzyły całość.

W Rondzie znajduje się też najstarszy czynny w Hiszpanii plac do walki z bykami – Plaza de Toros. Spektakle odbywają się tylko na początku września, w czasie lokalnego święta Feria de Ronda. Ludzie nie idą wtedy do pracy, po ulicach chodzą dziewczyny w kolorowych sukienkach, trzymając w dłoniach wachlarze, a muzykę flamenco na żywo można

NATURA, WINO I SPOKÓJ

Zbiornik wodny El Gator w pobliżu najbardziej urokliwego z „białych miasteczek” – Zahara de la Sierra, widocznego z dala na wzgórzu z prawej. Wizytówki malutkiego (1400 mieszkańców) i nastrojowego Zahara to natura, wino i spokój.

MOST HEMINGWAYA

Most Puento Nuevo w Rondzie zbudowano w XVIII w. Ma 98 m wysokości. Połączył starą arabską dzielnicę z nową chrześcijańską. Nad łukiem było kiedyś więzienie, a podczas wojny domowej w 1936 r. strącono z niego 5 tys. osób. Te wojenne wydarzenia inspirowały autora „Komu bije dzwon”, Ernesta Hemingwaya.

usłyszeć na każdym placu. Wielbiciele korridy ubierają się na to wydarzenie, według tradycji, w stroje z XIX w.

Na koniec trzeba odwiedzić lokalną restaurację serwującą ogon z byka, rarytas z tych okolic, oraz napić się wina z pobliskich winnic.

ZAHARA I GRAZALEMA

Jeżeli chcemy zobaczyć jeszcze spokojniejsze i jeszcze bardziej malownicze *pueblo blanco*, w którym nie ma takich tłumów jak w Rondzie, należy pojechać do prowincji Kadyks. Właśnie tam, w takich miasteczkach, jak Zahara de la Sierra, Grazalema czy Vejer de la Frontera znajdziemy – jak to mówią Hiszpanie – *el ambiente*, czyli klimat (i nie chodzi akurat o pogodę), niespotykany w żadnym innym zakątku Europy.

Zahara de la Sierra liczy tylko 1400 mieszkańców, ma dwa kościoły i ruiny wieży z czasów mauretańskich. Wszystko jest miniaturowe, każdy tutaj się zna, uśmiecha. Każdy zaułek jest niepowtarzalny, a samo miasteczko niesamowicie położone – na niewielkim wzgórzu, na którego szczycie góruje Wieża Hołdu z XIII w. Z drugiej strony Zahara de la Sierra rozciąga się zbiornik wodny El Gastor. Przy samym ratuszu z kolei zaczyna się minilas drzew iglastych *pinsapar* (cały region z nich słynie) – gatunku chronionego i endemicznego, z epoki trzeciorzędu.

Do Grazalemy dzieli nas stąd 16 km przepięknej trasy widokowej wiodącej przez Park Naturalny Sierra de Grazalema, który jest zaprzeczeniem wszystkiego, co kojarzy się z Andaluzją. To oaza wody, form skalnych, flory i fauny – najbardziej deszczowe miasto



FOT. KAMILA KUDASZEWICZ



FOT. SHUTTERSTOCK

Hiszpanii. Mamy do pokonania kilkadziesiąt zakrętów (niektóre mające 180 stopni), ale to nie one i nie ograniczenie prędkości do 30 km/h sprawiają, że droga się wydłuża (samochodem jedzie się około godziny). Chodzi o widoki, które zapierają dech i sprawiają, że co chwila chcesz się zatrzymać na pamiątkowe zdjęcie.

BLISKO WYBRZEŻA ŚWIATŁA

Grazalema liczy trochę ponad dwa tysiące mieszkańców i podobnie jak Zahara de la Sierra nie ma imponujących zabytków. Ale to w niczym nie przeszkadza – i tak wszędzie widać i czuć, jakby czas zatrzymał się kilkaset lat temu. W większości „białych miasteczek” prywatne domy są na co dzień otwarte, i to dosłownie, bo nikt nie boi się

tutaj kradzieży, skoro wszyscy się znają. Co krok spotykamy sklepy z domowym chlebem, miodami, serami i wędlinami z regionu oraz lokalnymi winami. Sąsiedzi potrafią toczyć interesujące dyskusje godzinami, nie zerkając przy tym na zegarek. Przecież nikt ich nie goni.

W Kadyksie znajduje się również Vejer de la Frontera, tyle że bliżej wybrzeża. Położeniem bardzo przypomina Zahara de la Sierra, ale z jednym wyjątkiem. Po przejechaniu zaledwie 15 km z Vejer de la Frontera jesteśmy wprost na plaży El Palmar, jednej z najsłynniejszych plaż Wybrzeża Światła, Costa de la Luz. Wybrzeże Kadyksu to kilometry szerokich piaszczystych plaż nad Oceanem Atlantyckim, a najpiękniejsze zachody słońca są oczywiście na Wybrzeżu Światła.

A poza tym – białe jest piękne! ○

O KURCZE, ALE BALKON

Punkt widokowy Balcón del coño w Rondzie, z perspektywą na dolinę rzeki Guadaletín, uprawy migdałów i oliwek oraz otaczające góry. Nazwę temu zachwycającemu miejscu nadali sami turyści, a w wolnym i „grzeczniejszym” tłumaczeniu mogłaby ona brzmieć: „O kurcze, ale balkon”.



Kamila Kudaszewicz

W Hiszpanii mieszka od 2012 r. Granada okazała się jej miejscem na świecie. Jest licencjonowanym przewodnikiem po Andaluzji i zaraża ludzi swoją miłością do tego regionu.

Zbigniew Kula

SPOTKAJMY SIĘ W DIMECE

Dimeka to miasteczko zasiedlone głównie przez Hamerów. Można stąd rozpocząć podróż do wiosek zamieszkanymi przez ludy doliny Omo. Warto trafić tutaj w sobotę – wtedy odbywa się targ, który jest miejscem spotkań ludzi z wielu odległych osad i różnych plemion.

Młoda niezamężna kobieta. Kiedy bierze ślub, pozbywa się biżuterii, która jest pierwszym prezentem, jaki ofiarowuje nowej rodzinie.



Liście krzewu *khat* (czuwaliczka jadalna) są ulubionym narkotykiem w Etiopii. Jego działanie jest podobne do amfetaminy. Kobiety z plemienia Hamerów sprzedają *khat* legalnie.



Niemal wszyscy na targowisku są bogato przystrojeni biżuterią i różnorodnymi ozdobami. Nie tylko kobiety je uwielbiają. Równie chętnie stroją się mężczyźni.



Tykwa to rodzaj
jednorocznej pnącej
rośliny tropikalnej
z rodziny dyniowatych.
W Afryce jest
powszechnie
wykorzystywana
i zastępuje naczynia,
miski, kubki, butelki,
czarki, a nawet
nakrycia głowy.

Miejscowa piękność w bogatej biżuterii i równie misternej fryzurze. Metalowe obręcze i ozdoby wokół szyi świadczą o prestiżu i bogactwie.





Większość fryzur u kobiet z plemienia
Hamerów wygląda podobnie. Ich włosy
są uplecione w setki warkoczików
posklejanych mieszką ochry
i koziego masła.



Miejscowy sklep monopolowy, w którym alkohol własnej produkcji jest sprzedawany w plastikowych butelkach z odzysku. Najczęściej jest to wino miodowe lub piwo z sorgo.

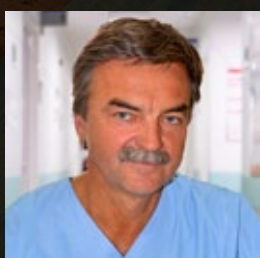


Mężczyźni coraz bardziej upodobniają się do turystów. T-shirty, podkoszulki i okulary przeciwsłoneczne zastępują tradycyjne stroje i akcesoria.

Nie kilogramy i litry, tylko metalowa puszka
jest wyznacznikiem dokładnej miary.



Sprzedawczyni ziarna
z telefonem w dłoni. Choć w
dolinie Omo trudno o energię
elektryczną, komórki są coraz
powszechniejsze w użyciu.



Zbigniew Kula

Lekarz, gastroenterolog.
Odwiedził wiele krajów z grupą
przyjaciół, którzy nazwali się
gastroglobtroterami. Chciałby
mieć więcej czasu na podróże
i fotografowanie, obserwowanie
natury, a szczególnie ptaków.



KILOMETRY HISTORII SZTUKI

W jego skład wchodzi najpiękniejszy lokal wyborczy na świecie i ponad tysiąc innych pomieszczeń w różnych budynkach. To skomplikowany twór. Choć jedna z tras może liczyć nawet siedem kilometrów długości, on sam leży w państwie, które zajmuje niecałe pół kilometra kwadratowego. Mimo to ma ono wielkie wpływy. To tutaj zapadają decyzje wiążące dla milionów ludzi na całym globie. W dodatku to jedyne państwo, którego ludność pochodzi z naboru, a do tego jest tymczasowa. Czasami jej liczba wzrasta, ale jest jeden warunek – musi być przyzwoicie ubrana.

Władcą tego państwa jest ostatni monarcha absolutny w Europie, który ma pełnię władzy prawodawczej, wykonawczej i sądowniczej. Dokładnie tak! Chodzi o papieża i Watykan, chociaż tym razem skupię się na Pałacu Apostolskim, a właściwie tylko na niektórych jego budynkach. Jest sierpień, więc to dobry czas, aby wrócić pamięcią do rzymskiej podróży sprzed roku i ponownie przejść tę samą sieć budynków, sal, korytarzy, pięter... Pałac liczy ponad tysiąc pomieszczeń, ale publiczności udostępniane są tylko te, w których mieszczą się Muzea Watykańskie. Od kiedy Grzegorz XI w 1377 r.

przeniósł tu swoją siedzibę z Lateranu, pałac jest oficjalną rezydencją papieża.

Dlaczego Pałac Apostolski wygląda, jakby się składał z kilku różnych budynków? Bo de facto tak właśnie jest. Od około 1450 r., czyli od kiedy zaczęto budowę nowego pałacu, prawie każdy papież dokładał coś od siebie i prowadził kolejne prace budowlane. Tak oto powstał swoisty kompleks architektoniczny, którego skrzydło wzniesione pod koniec XVI w., bezpośrednio za czterorzędową kolumnadą Berniniego, do dziś stanowi centrum papieskiego życia i działania. Na drugim piętrze znajdują się sale audiencyjne, w tym Sala Klementyńska,

natomiast trzecie piętro to już prywatne apartamenty papieskie.

W Pałacu Apostolskim znajdują się także różne watykańskie biura rządowe i prywatne, Biblioteka Papieska z jednym z najcenniejszych księgozbiorów na świecie, Apartamenty Borgiów, które freskami ozdobił sam Pinturicchio, prywatne oraz publiczne kaplice, w tym kaplica Sykstyńska, oraz powstałe ze zbiorów dzieł sztuki poszczególnych papieży Muzea Watykańskie z jedną z najważniejszych kolekcji sztuki na świecie oraz spiralnymi schodami, które same w sobie są dużą atrakcją. Co roku to miejsce zwiedza ponad trzy miliony turystów, a zgromadzone

tu eksponaty są tak liczne, że zajmują aż 55 tys. m² powierzchni! Jest co oglądać.

W dodatku nie wiadomo, gdzie najpierw patrzeć – do góry, pod nogi, na boki? Wszędzie, poczynawszy od stropów, poprzez ściany, na posadzkach kończąc, znajduje się sztuka. Całe kilometry sztuki. Zwiedzający o słabych nerwach, jak również o słabszej kondycji, mogą tego „bombardowania” sztuką nie przetrwać. Paradoksalnie tłumy zwiedzających są w tym wypadku na rękę, bo dzięki temu... nie da się zobaczyć wszystkiego. Inaczej chyba do dziś bym stamtąd nie wyszła i w ogóle wątpię, żeby życia mi wystarczyło, aby obejrzeć każdy eksponat. Ba, rzucić tylko na niego okiem. Muzea Watykańskie to w końcu najbogatsza kolekcja dzieł sztuki z całego świata.

Co oczywiste, szczególnie obfite są zbiory kolekcji rzymskiej sztuki klasycznej. Niezwykła jest tutaj Pinakoteka. To galeria obrazów gromadzonych od wczesnego renesansu do XIX w. Można w niej zobaczyć dzieła takich mistrzów, jak Giotto, Bellini, Leonardo da Vinci czy Caravaggio – żeby wymienić tylko kilka nazwisk. Kocham rzeźbę, więc na mnie szczególne wrażenie wywarła kolekcja greckich i rzymskich rzeźb antycznych, spośród których najbardziej znane to Apollo Belwederski, Grupa Laokoona, Tors Belwederski. Fascynujące są zbiory etruskie i egipskie, a także zgromadzone w licznych galeriach stare mapy, arras i księgi. Niezwykły jest też dział ze zbiorami etnologicznymi, który obejmuje aż 25 różnych krajów lub większych stref kulturowo-religijnych, takich jak Polinezja czy Indochiny.

Do ciągu muzeów zostały włączone Stanze Watykańskie, czyli pomieszczenia ozdobione freskami przez Rafaela i jego uczniów, oraz wspomniana kaplica Sykstyńska. Ta ostatnia kryje największe arcydzieła renesansu i przyciąga miliony miłośników sztuki. Z tego też powodu raz w roku jest poddawana drobiazgowym oględzinom, po których jest sporządzany specjalny raport o jej stanie. Przez cały miesiąc od godziny 17.30 do północy, kiedy z kaplicy wyjdą wszyscy turyści, do Sykstyny wkracza sztab specjalistów. Co noc muszą być stawiane, a następnie demontowane rusztowania i to w taki sposób, aby nie opierały się o malowidła. Następnie konserwatorzy, centymetr po centymetrze, dokładnie badają

powierzchnię fresków. Sprawdzają, czy gdzieś nie łuszczy się warstwa malarska, czy tynk nie odchodzi od muru.

Największym problemem jest wilgoć, która powstaje wraz z przepływającym przez kaplicę tłumem zwiedzających. Dziennie może to być nawet 25 tys. osób, a każda z nich generuje ciepło i wilgoć. To z tego powodu na powierzchni ścian tworzy się słony nalot. Z kolei sól powoduje destrukcję tynku i niszczy kolory fresków. Problem ten rozwiązuje się za pomocą wody destylowanej i japońskiego papieru, którymi oczyszcza się z soli powierzchnię fresków. Proces ten trzeba ciągle powtarzać, chociaż warunki klimatyczne w kaplicy kontroluje ponad 30 specjalnych czujników, które należą do nowoczesnego systemu oczyszczającego powietrze w Sykstynie. Współczesna technologia pozwala nie tylko zabezpieczać freski, ale także odzyskać ich oryginalne kolory.

Kaplica Sykstyńska została wzniesiona jako kaplica pałacowa dla papieża Sykstusa IV, stąd jej nazwa. Od tamtej pory to właśnie tu odbywają się wszystkie konklawe, czyli wybory nowego papieża. Jest zatem nie tylko bezcennym zabytkiem, ale i najpiękniejszym lokalem wyborczym na świecie. Dekorowali ją przecież tacy artyści, jak Botticelli, Perugino, Ghirlandaio, Pinturicchio i Roselli. To oni stworzyli freski na dłuższych bokach kaplicy. Niewątpliwie największą atrakcją jest wykonany przez samego Michała Anioła fresk na sklepieniu. Artysta potrzebował czterech lat, aby na dziewięciu polach przedstawić sceny z historii stworzenia. Najbardziej znany fragment tego dzieła to słynne „Stworzenie Adama”, kiedy Bóg dotykaniem palca daje Adamowi życie.

Kolejne arcydzieło Sykstyny to największy, mierzący aż 180 m², fresk świata, który pokrywa ścianę ołtarzową. To „Sąd Ostateczny” Michała Anioła. Na malowidle Chrystus jako sędzia wynosi sprawiedliwych do nieba, a grzeszników strąca do piekieł. Co ciekawe, tylko jedna z przedstawionych tu trzystu postaci „patrzy” na widza. Która? Z pewnością w momencie powstania dzieła nikt sobie tym głowy nie zawracał. Problemem była natomiast nagość tych postaci, co bulwersowało wielu dostojników kościelnych. W efekcie Daniele de Volterra otrzymał zadanie domalowania na fresku przepasek w wiadomych miejscach. Artysta zyskał



przez to niepochlebne miano „Majtkarza”. Dopiero 500 lat po śmierci Michała Anioła, w 1975 r., Watykan zdecydował się na zdjęcie tych „majtek”. W tej wersji dzieło jest świadectwem pewnego przełomu – widoczne na malowidle połączenie antyku ze sztuką chrześcijańską to był jeden z istotnych postulatów renesansu.

Pałac Apostolski to nie tylko siedziba papieża i kawał historii. To także skarbiec bezcennych dzieł sztuki. Nie sposób je wszystkie zobaczyć na żywo, ale próbować zawsze warto. Na własne oczy podczas wycieczki do Watykanu, w internecie, w albumach, na filmach, w książkach. Mnie osobiście pochłonęło niezwykle studium „Kaplica Sykstyńska na nowo odkryta” o. prof. Heinricha Pfeiffera, wybitnego historyka sztuki. Można tu znaleźć nie tylko ciekawostki, o których wspominałam powyżej, ale i zobaczyć genialne freski z bliska, a także poczytać o pierwotnych znaczeniach ukrytych w malowidłach. To prawdziwa gratka dla miłośników sztuki i wielbicieli zagadek. ◉

Anna Szczesna

Dziennikarka, politolog, redaktor.

Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyci.

Gotowi na wszystko

Nawet w lecie pogoda potrafi zaskoczyć. Zwłaszcza w górach. Warto przygotować się na zmienną aurę, aby móc w pełni korzystać z uroków urlopu.



NA UPALY I CHŁÓD BRUBECK OUTDOOR WOOL

Wełniana koszulka z krótkim rękawem to idealne połączenie funkcjonalności i komfortu. Dzięki dzianinie wzbogaconej o wełnę merynosów australijskich nabiera wyjątkowych właściwości termoregulacyjnych i w efekcie może być użytkowana przez cały rok. Latem chroni przed przegrzaniem, a zimą przed wyziębieniem. Koszulka polskiego producenta ma również wiele innych zalet, m.in. płaskie szwy. Produkt jest dostępny w wersji damskiej i męskiej w trzech wariantach kolorystycznych.

Cena: ok. 185 zł
www.brubeck.pl



Cena: ok. 600 zł
www.devold.pl

KAMIZELKA DEVOLD RUNNING ULTRALEKKA OCHRONA PRZED WIATREM

Wiatroszczelna kamizelka przygotowana z myślą o biegaczach potrzebujących ochrony przed wiatrem, kiedy jest zbyt ciepło na kurtkę membranową lub softshell. Dopasowany krój nie krępuje ruchów, a cienki i lekki materiał sprawia, że podczas treningu nie czuć dodatkowej warstwy. Wyposażona w trzy zasuwane kieszenie, w których zmieści się portfel, telefon czy klucze. Odblaskowe elementy zwiększają bezpieczeństwo podczas nocnych treningów. Kiedy nie jest potrzebna, zmieści się w małym podręcznym plecaku. Materiał z dużą zawartością wełny merynosów działa jak dodatkowa warstwa termoaktywna – ogrzewa, kiedy jest zimno, i izoluje od ciepła, kiedy jest gorąco.



UNIwersalne Rozwiązanie FORCLAZ 2 W 1 TREK 500

To spodnie 2 w 1, dzięki czemu można przekształcić długie nogawki w krótkie. Wytrzymałość zawdzięcza wstawkom z grubszej tkaniny w strefach narażonych na przetarcia, a oddychalność i szybkie schnięcie – materiałom syntetycznym. Spodnie są hydrofobowe we wzmocnionych strefach, dzięki czemu wędrowka w lekkim deszczu nie jest problemem, a produkt można uznać za trzysezonowy.

Cena: ok. 150 zł
www.decathlon.pl

SPECJALNIE DLA KOBIET KEEN TERRADORA EVO

Te niebanalnie wyglądające buty oferują to samo bezkompromisowe podejście do specyfiki kobiecej stopy i dają to samo niebywałe dopasowanie, jakie można znaleźć w całej linii Terradora. Do wykonania cholewki wykorzystano innowacyjny materiał Keen Evofit, zapewniający komfort i elastyczność. Konstrukcja oferuje idealne dopasowanie do stopy oraz wysoką oddychalność, pożądaną podczas treningu w terenie. Wewnętrzna tkanina z przyjazną dla środowiska powłoką Cleansport NXT™ sprawia, że stopy są świeże i suche w każdych warunkach. Buty są wyposażone w środkową podeszwę z pianki EVA o niskiej gęstości, podwójną piankową wkładkę poliuretanową oraz usztywnienie podeszwy, które zapewnia wsparcie podczas użytkowania w terenie. Amortyzowana wstawka odciąża ścięgno Achillesa. Gumowa podeszwa zewnętrzna Keen.All-Terrain® z 4-milimetrowymi wypustkami daje doskonałą przyczepność.



Cena: ok. 500 zł
keen.pl

LATWOŚĆ UŻYTKOWANIA BUKŁAK NA WODĘ PLATYPUS BIG ZIP EVO

Bukłak umożliwia picie bez użycia rąk. Rurka o szybkim przepływie ułatwia nawodnienie w trakcie szybkich marszów oraz biegów. Szerokie strunowe zamknięcie oraz zacisk ułatwiają czyszczenie zbiornika i nalewanie płynu. Zsuwany zacisk jest przyczepiony do korpusu za pomocą linki – to gwarantuje, że zamknięcie nie zgubi się lub nie odpłynie w trakcie nabierania wody. Ucho do przenoszenia jest szerokie i wygodne do noszenia oraz do mocowania we wnętrzu plecaka. Wnętrze powleczone materiałem zapobiegającym rozwojowi bakterii i zmianie smaku płynów. Dostępny w pojemnościach 3, 2 oraz 1,5 l.



Cena: ok. 140 zł
paker.pl

NA WYZWANIA HOKA ONE ONE TOA

To idealne buty do szybkiego wędrowania po górach. Ultralekkie, o trwałej i oddychającej syntetycznej cholewce, która dzięki zastosowaniu membrany eVent® zapewnia również wodoodporność. Podwyższona cholewka dobrze utrzymuje stopę, gwarantując stabilizację i niwelując ryzyko kontuzji na szlaku. Górna warstwa śródpodeszwy została wykonana z grubej warstwy ciśnieniowo formowanej pianki EVA. Zapewnia to uczucie miękkości podczas stawiania szybkich kroków. Dzięki dolnej warstwie wykonanej w technologii Rangi™ buty mają bardzo dobrą amortyzację, a jednocześnie użytkownik nie traci czucia podłoża. Podeszwa zewnętrzna Vibram® Megagrip zapewnia przyczepność na różnych rodzajach terenu, w tym na mokrej skale.

NA GÓRSKIE SZLAKI SALOMON OUTPATH GTX

Bardzo lekkie i elastyczne, a jednocześnie trwałe i dobrze chroniące. Pozwalają bezpiecznie zapuścić się w nieznaną. Precyzyjne wiązania Quicklace mocno trzymają stopę podczas marszu. Membrana Gore-Tex® oraz tekstylna cholewka zapewniają wysoką oddychalność przy jednoczesnej pełnej wodoodporności. Uniwersalna podeszwa Contagrip MA, znana z najlepszych butów biegowych, gwarantuje stabilność zarówno na kamieniach oraz skale, jak i błocie lub śniegu. Wkładka OrthoLite dzięki zwiększonej amortyzacji i przewiewności podnosi komfort na długich trasach. Waga: 335 g.



Cena: ok. 680 zł
www.salomon.com



Cena: ok. 700 zł
taternik-sklep.pl



NOWOŚĆ PETZL ACTIK CORE

Nowa wersja latarki czołowej Actik Core ma 450 lumenów oraz mieszaną wiązkę światła. Znajduje zastosowanie w aktywnościach w terenie, jak alpinizm, bieganie, trekking, biwak. Czerwone światło nie zaburza nocnego widzenia ani nie oślepia użytkownika czy innych osób. Na opasce znajdują się odbłaskowe elementy widoczne z daleka. Actik Core jest dostarczana z akumulatorem, pasują do niej również trzy baterie AAA. Latarkę można założyć na kask każdego typu lub na rower dzięki mocowaniom dostępnym jako akcesoria. Maksymalny czas świecenia do 130 h. Maksymalny zasięg do 90 m. Ciężar: 75 g.

Cena: ok. 270 zł
www.amc.com.pl



Cena: ok. 600 zł
paker.pl

W GÓRY I DO BIEGANIA GARMONT 9.81 N. AIR GTX SURROUND

Buty do kostki, niesamowicie wygodne, do łatwej turystyki oraz biegania, także po górach. Znakomicie się sprawdzą również do codziennego chodzenia po mieście. Lekkie, ale sztywne, wyposażone w membranę Gore-Tex® Surround®, są oddychające oraz wodoodporne z każdej strony, także przez podeszwę. Buty mają „skarpetkę” z membrany, a podeszwa z dziurkami odprowadza wilgoć z wnętrza buta nie tylko przez cholewkę, ale także przez otwory z boków. To doskonałe rozwiązanie, szczególnie w cieplejsze dni. Czubek buta jest obłany gumą dla ochrony przed uszkodzeniami. Podeszwa pod piętą jest uniesiona o 8 mm, co ułatwia poruszanie się biegiem w trudnym terenie. Waga: 700 g dla rozmiaru 42.

THULE RAIL 8L

Marka Thule ma wieloletnie doświadczenie w produkcji różnego rodzaju bagażników samochodowych i jest liderem tego rynku. Plecakami zajęli się niedawno, a mimo to już zyskali bardzo dobre opinie i mocną pozycję w branży outdoorowej. Ich plecaki są zaprojektowane w sposób nieszbłowny, z drobnymi szczegółami, które poprawiają użyteczność produktów w terenie. Dlatego po raz kolejny przetestowałem plecak Thule. Tym razem dla rowerzystów, czyli model Rail 8L.

Jest to 8-litrowy plecak z zestawem do nawadniania, wyposażony w rurkę Thule ReTrakt i solidną uprząż zapewniającą stabilność nawet podczas agresywnej jazdy – łącznie z wyścigami enduro. Na pierwszy rzut oka niewiele się różni od innych tego typu produktów. Jednak ma w zanadrzu kilka rozwiązań, które docenimy szczególnie na wyjeździe rowerowym. Po pierwsze: magnetyczny system chowania rurki ReTrakt. Niby nic takiego, ale jednak bardzo przydatna rzecz. Dzięki niemu zapominamy o rurce latającej we wszystkie strony. Kolejna mocna strona tego produktu to wygodny w użyciu zbiornik HydraPak. Pojemność to 2,5 l, a szeroko rozsuwane zamknięcie ułatwia czyszczenie.

Plecak po zapakowaniu podstawowym sprzętem (dętka, pompka, zestaw kluczy, kurtka, jedzenie, mapa, dokumenty itp.) wydaje się dokładnie w tym miejscu, gdzie

powinien. To zasługa systemu nośnego i rozłożenia masy plecaka. Dzięki temu jest bardzo stabilny, nawet podczas ostrych zjazdów i skoków. Ponadto jego niski środek ciężkości pozwala poprawić wygodę prowadzenia roweru i ograniczyć obciążenie mięśni. Pusty plecak waży zaledwie 0,8 kg, mimo że jest porządnie wykonany z wytrzymałych materiałów (głównie nylonu). Jego wymiary to 18 × 16 × 42 cm. Ma oczywiście zestaw uchwytów na ochraniacze oraz kask (z możliwością przypięcia całego kasku lub tylko odpinanej szczęki). Wygodne kieszenie dolne zapewniają łatwy dostęp do wnętrza bez zdejmowania plecaka. Ma również kieszonki wewnętrzne na narzędzia, pompki, prowiant i akcesoria. Na zewnątrz znajdziecie także pętlę do zamocowania elementów odblaskowych i światła.

Plecak towarzyszył mi podczas przygotowań do zawodów kolarskich Enduro MTB Series. Pomieścił nie tylko kurtkę, klucze i jedzenie, ale także mapę, taker i taśmę do znakowania. Nie przemókł w ulewie, co świadczy o jego porządnej impregnacji. Bardzo często musiałem do niego sięgać po różne rzeczy – ich wyjmowanie czy znalezienie nie stanowiło problemu. To bardzo dobry, niewielki i wygodny plecak. Cena jak za

taką pojemność trochę odstrasza, ale patrząc na kwoty, jakich życzy sobie konkurencja za podobne produkty, myślę, że Thule Rail 8L jest dobrym wyborem.

Test: Grzegorz Miedziński



Cena: ok. 560 zł
www.thule.com

Polski Caravaning

*Podróż przecież nie zaczyna się
w momencie, kiedy ruszamy w drogę,
i nie kończy, kiedy dotarliśmy do mety.*

Ryszard Kapuściński



Zaprenumeruj 6 wydań za 75 zł

prenumerata@polskicaravaning.pl, tel. 58 777 01 25-28 wew. 308, tel. 604 407 079

www.polskicaravaning.pl

Z całej wsi chłopcy, dziewczki, Najweselsze zażynki, Najhuczniejsze dosiewki

Adam Mickiewicz, „Ballady i romanse”

Latem sielski krajobraz polskich wsi wzbogacają złociste belki słomy, będące pozostałościami niedawnych zbiorów. Obecnie rolnictwo jest zmechanizowane, a żniwa odbywają się za pomocą maszyn znacznie ułatwiających pracę. Niegdyś tradycyjnymi narzędziami służącymi do pracy w polu były sierpy i kosy. Rozpoczęcie zbiorów nazywano „zażynkami”. Na ich obchody udawały się całe rodziny. Żniwa rozpoczynały się, kiedy ziarno było odpowiednio twarde, a słoma miała właściwy odcień. Ścięcie pierwszych kłosów odbywało się zawsze w dzień poświęcony Matce Boskiej – sobotę lub środę. Po wybraniu odpowiedniego kłosa gospodarz zdejmował kapelusz i mówił „Boże, dopomóż”, żegnał się i przystępował do pracy.

Pierwszy zżęty snop zboża przechowywano do Święta Godowego (przesilenia zimowego). Pod koniec trwających dwa miesiące żniw miały miejsce „dożynki”, znane inaczej jako Święto Plonów. Jesienią zaś przychodził czas na zasiew zboża ozimego, który wieńczył kolejny obrządek – „dosiewki”.

Zdjęcie ukazuje tradycyjny wygląd dawnych żniw. Fotografie wykonano w okresie dwudziestolecia międzywojennego.





FO. NA. DOWE ARCHIWUM CYFROWE



KANADA – GDZIE ZIEMIA SPOTYKA OCEAN



GALAPAGOS – WIELKA HISTORIA MAŁEGO ARCHIPELAGU



ALBANIA – GÓRY PRZEKŁĘTE

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek

katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji

Michał Białek

redakcja@poznaj-swiat.pl

tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy

Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Jerzy Nowiński, Tomasz Owsiany, Anna Szczęśna,
Magdalena Zelewska, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku

Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

Patronaty medialne

Martyna Bulba

martyna.bulba@poznaj-swiat.pl

Korekta

Joanna Lewandowska

Adres redakcji

80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17

redakcja@poznaj-swiat.pl

www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo

Probiez Leasing sp. z o.o. sp. k.

80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych

Beata Pernak

prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?

Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA

numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA

mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA



facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama

marketing@poznaj-swiat.pl

Reklama outdooru

Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata

Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja
zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania
redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie
odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie
zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.



red**dot** award 2018
winner



Optyczne.pl

1. miejsce w plebiscycie na
Produkt Roku 2018



Lornetka Titanium HD 8x42 ED

PODWÓJNY ZWYCIĘZCA!

Produkt roku 2018 według Czytelników Optyczne.pl w kategorii lornetka.

Najlepsza lornetka, zdaniem jury prestiżowego, międzynarodowego konkursu Red Dot.
Koniec i kropka.

CIESZYMY SIĘ I JESTEŚMY DUMNI.

DELTA[®]
o p t i c a l



www.deltaoptical.pl



Link do produktu
www.deltaoptical.pl

Kopalnia Soli „Wieliczka”



Witaj w kopalni tajemnic

www.kopalnia.pl